

JACK LONDON

PRZYGODY PSA
W KLONDYKE.







A 60

PRZYGODY PSA W KLONDYKE.



JACK LONDON

PRZYGODY PSA W KLONDYKE

(GŁOS LASU)

ZE WSTĘPEM WACŁAWA SIEROSZEWSKIEGO
I 4 ILUSTRACYAMI



KRAKÓW 1909

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA WE LWOWIE

Nakładem Zygmunta Klemensiewicza.
ODBIŁO W Drukarni Ludowej w Krakowie (ul. Filipa 11).

SPIS RZECZY.

	Str.
Wstęp	VII
I. Prawo pierwotne	1
II. Prawo kija i zębów	12
III. Zwierzę pierwotne panuje	21
IV. Bek obejmuje kierownictwo zaprzęgu	34
V. Trudy jarzma i podróży	43
VI. Przyjaźń	56
VII. Głos się odzywa	70
VIII. Głos się odzywa	77

WSTĘP.

Podczas mego pobytu na Dalekim Północu-
Wschodzie, gdzie za pociągowe zwierzęta służą
przeważnie psy, nieraz podziwiałem ten dziwny
zespół pracowniczy, jaki przedstawia sprzężona
psia sfora. Zaciekle zwalczające się, gryzące, za-
wistne i niezgodne na wolności osobniki, zmie-
niają się w uprzęży do niepoznania, pracują z za-
palem do ostatniego nieraz tchnienia, słuchają
„przodownika“ — słowem przedstawiają sprawną
całość roboczą, połączoną duchem niezwyklej so-
lidarności i karności. Im lepszy jest woźnica, im
bardziej go psy lubią, tem przymioty uprzęży
są wyższe i dlatego słusznie na północy oceniani
są ludzie według swego obojścia się z psami
i słusznie podbiegunowe dziewczęta, przypatrując
się wyścigom psich zaprzęgów, wybierają z po-
śród woźniców swych przyszłych mężów...

Niezmiernie ważną rzeczą dla dobrej nawet
sfory zaprzęgowej jest odpowiedni „przodownik“,
t. j. pies prowadzący zaprząg. Odbiera on bez-
pośrednio rozkazy od woźnicy, jest dla towarzy-

szy swych wyrocznią i absolutnym panem. Słuchają ślepo jego rozkazów, wydawanych krótkiem, urywanem szczekaniem i pędzą za nim w ogień i w wodę z niewstrzymanym impetem. „Przodownik“ odznacza się zazwyczaj nie tyle siłą, ile inteligencją i wytrwałością. Często, gdy prowadzone przezeń psy, które bardzo rozzamiętniają się i gorączkują od wspólnego biegu, rzucają się gwałtownie za spotkaną na drodze zwierzyną: lisem, zającem, kuropatwą i gdy ani razy ani hamulec woźnicy już nie pomaga, przodownik udaje, że bierze udział w zapamiętaniu towarzyszy i nieznacznie, naszczekując, uprowadza ich w bok, gdzie niema zwierzyny i gdzie wskutek tego psy łatwiej przychodzą do przytomności. Wtedy „przodownik“ i woźnica wspólnymi siłami zawracają rozszałały zaprząg we właściwym kierunku...

„Przodownik“ nie tylko zna doskonale wszystkie potrzebne w drodze sygnały: na prawo!... na lewo!... stój!... ruszaj!... szybciej!... wolniej!... pędź!... co sił!... i t. d.; ale z tonu głosu i ruchu woźnicy odgaduje jego myśli nieledwie i pragnienia, stara się w lot je wykonać, powodowany jedynie przywiązaniem do pana, opiekuna i dwunogiego swego przyjaciela...

„Przodownik“ wybornie orientuje się w drodze, umiejętnie wybiera łatwiejsze i dogodniejsze kierunki i ostrzega przed niebezpieczeństwem...

Nikt dotychczas tak ślicznie i wiernie nie opisał psychologii psów jazdowych, jak uczynił to Jack London w swej noweli „Głos lasu“.

Ale prócz tego znajduje się w tem opowiadaniu cała oryginalna filozofia, cały obrót stosunków człowieka ze zwierzętami domowymi i przedewszystkiem z psem. Widzimy jakie więzy łączą tego wiernego przyjaciela i pomocnika ludzkości z jego panem i jak, skoro więzy te pękają, oddany współpracownik oraz wierny druh staje się niebezpiecznym i mściwym wrogiem...

Dzieje się to nietylko z psami. Wyrozumiałość, sprawiedliwość, życzliwość, nieustanne odczuwanie wzajemnych usług i korzyści wszędzie przedstawiają stokroć potężniejszą i pożyteczniejszą więź, niż przemoc.

Przemoc dobra jest jedynie, kiedy niszczy zło. Ale budować na niej lub zapomocą niej nic trwałego niepodobna.

Zakopane, 10 września 1908 r.

Wacław Sieroszewski.

1.

PRAWO PIERWOTNE.

Bek nie czytywał gazet, nie podejrzewał więc nawet spisku, jaki szykował się pod koniec 1897 roku, nie tylko przeciw niemu, lecz przeciw wszystkim osobnikom jego rasy, wielkim psom o długiej sierści, które w wodzie dawały sobie radę równie dzielnie jak na lądzie, i na które urządzono formalną obławę w całej okolicy, rozpościerającej się od cieśniny Puget do zatoki San-Diego.

Ludzie bowiem, ryjąc się, jak krety, w czarnej ziemi znaleźli żółty metal, zagłębiony w zmarzłym gruncie okolic podbiegunowych; towarzystwa transportowe rozpowszechniły natychmiast za pomocą reklamy tę wiadomość, i ludzie tłumnie rzucili się na Północ. I potrzeba im było psów, posiadających potężne mięśnie dla wytrwałej pracy i dobre futro, zabezpieczające je od zimna.

Bek mieszkał w prześlicznej, słonecznej dolinie Santa-Clara, w „Majątku sędziego Millera“.

Z drogi zaledwie można było dostrzedz dom, ginący w cieniu wielkich drzew, poprzez które widać było obszerną, chłodną werandę, okrążającą dom ze wszystkich czterech stron. Ścieżki, starannie wysypane piaskiem, biegły wśród zielonej murawy i schodziły się u ganku, pod drżącymi cieniami wysokiej topoli. Olbrzymi, pełny kwiecía ogród otaczał willę, za nim ciągnęły się obszerne stajnie, przy których krzątało się z tuzin groomów i gadatliwych lokajów, dalej pokryte pełzającami

roślinami chaty, w których mieszkali ogrodnicy ze swymi pomocnikami; w końcu niezliczony szereg oranżeryj, winnic i drzew owocowych, a za nim obfite sady, bujne pastwiska, pola uprawne i szemrzące strumienie.

I absolutnym władcą tego pięknego królestwa był od czterech lat pies Bek, wspaniałe zwierzę, które odziedziczyło po swym ojcu Elnu, olbrzymim psie nowo-funlandzkim swą powagę i majestatyczność, zaś po matce Sheps, wdzięcznej owczarce czystej szkockiej rasy, swą piękność kształtów i ludzką inteligencję spojrzenia. Władza Beka była bezsporna. Panował on bez kwestyi nie tylko nad gromadą pospolitych psów stajennych, nad japońskim mopsem, bożyszczem pani, nad Meksykanką Izabelą, dziwną kreaturą bez sierści, której widok budził śmiech, lecz nawet nad wszystkimi istotami dwunożnymi, przemieszkującymi pod tym samym dachem, co on. Nieodłączny towarzysz sędziego, z którym chodził na wszystkie spacery, spoczywał zazwyczaj u stóp swego pana w bibliotece, wyciągnięty, majestatyczny i spokojny, z nosem na przednich łapach, mrużąc oczy pod światło i okazując zainteresowanie do wszystkiego, co działo się wkoło niego, jedynie niedostrzegalnym ruchem brwi. Lecz gdy tylko zauważył na podwórzu starszych synów sędziego, gotujących się do przejażdżki konnej, natychmiast podnosił się z pełną godności miną i raczył ich eskortować; również, gdy młodzi ludzie brali zrana kąpiel w wielkim, cementowym basenie w ogrodzie, Bek poczytywał sobie za obowiązek zaszczycić ich i tam swą obecnością; nie zapominał też nigdy towarzyszyć im w spacerach lub przejażdżkach, a niekiedy można było go widzieć w roli wierzchowca, noszącego na grzbiecie wnuków sędziego i wesoło bawiącego się z nimi; Bek zrzucał ich na trawnik i pokazywał dwa rzędy swych błyszczących zębów, udając, że chce ich pożreć.

Dzieci uwielbiały go, obawiając się jednak trochę, gdyż Bek rozciągał nad nimi surowy nadzór i nie pozwalał na najmniejsze wykroczenia. Zresztą, nie byli oni jedni, gdyż poczucie własnego znaczenia i powsze-

chny szacunek, jaki go otaczał, nadawał pięknemu zwierzęciu prawdziwie królewską godność.

Od czterech lat Bek wiódł życie przesyconego arystokraty, w zupełności zadowolonego z siebie i z innych, być może, z lekką skłonnością do egoizmu, jak to często bywa z wielkimi tego świata. Lecz jego nieustanna czynność, polowanie, łowienie ryb, sporty, a zwłaszcza dziedziczna namiętność do zimnej wody, chroniły go od ociążałości, od najmniejszego niedomagania fizycznego; był to naprawdę najbardziej godny podziwu okaz, jaki mogła wydać jego rasa. Jego potężna pierś, pięknie wykrojone boki pod gęstem, jedwabistym futrem, łapy proste i silne, szerokie czoło z białą gwiazdką, swobodne wejrzenie, spokojne i uważne, zjednywały mu powszechny podziw.

W takich więc warunkach znajdował się Bek, gdy odkrycie kopalni złota w Klondyce pociągnęło na Północ tysiące śmiałych awanturników. Wszystkiego brak było w tych nowych i opustoszałych miejscowościach. I dla dostarczania emigrantom niezbędnych do życia środków, musiano uciec się do sanek, zaprzężonych w psy, jedyne zwierzęta pociągowe, zdolne do znoszenia podbiegunowego zimna.

Bek zdawał się być stworzony do odegrania roli w lodowych pustyniach Alaski i uległ temu losowi dzięki zdradzie pomocnika ogrodnika. Nikczemny Manuel miał wyuzdany nałóg do loteryi chińskiej; a ponieważ płaca, jaką pobierał, wystarczała zaledwie na zapewnienie bytu jego żonie i dzieciom, nie zawahał się więc popełnić zbrodni, by zdobyć sobie środki do zadowolenia swej zdrożnej namiętności.

Tak więc pewnego wieczoru, podczas gdy sędzia przewodniczył na jakimś zgromadzeniu, a synowie jego byli zajęci regulaminem nowego klubu atletycznego, zdradziecki Manuel zawołał cicho Beka, który poszedł za nim bez nieufności, pewny, że idzie o zwykły spacer o zmierzchu. Przeszli bez przeszkody majątek, wyszli na gościniec i przybyli spokojnie na małą stację College-Park. Tam jakiś nieznajomy człowiek wsunął Manuelowi kilka sztuk złota w rękę, żywo wyrzucając

mu, że przyprowadził psa na wolności. Manuel natychmiast narzucił Bekowi na szyję postronek dość silny, aby go zdusić w razie oporu.

Bek zniósł tę obrazę ze spokojem i godnością; chociaż to niezwykle postępowanie zdziwiło go, miał jednak zaufanie do wszystkich domowników i wiedział, że posiadają roztropność większą nawet niż on sam. Jednakże, gdy nieznajomy chciał wziąć w rękę sznurek, Bek głębokim pomrukiem okazał swe niezadowolenie. Natychmiast sznurek zacisnął się, nielitościwie kalecząc mu gardło i przecinając oddech. Oburzony, Bek rzucił się na człowieka, lecz ten wykonał silny ruch ręką, i sznurek zacisnął się jeszcze więcej; wściekły, zdumiony, z wywieszonym językiem i kurczowo drgającą piersią, Bek skręcił się bezsilnie, odczuwając dotkliwiej tę nieoczekiwaną zniewagę, niż nawet srogi ból fizyczny; jego piękne oczy przystonięły się mgłą, stały się szkliste... i nawpół żywego wrzucili go brutalnie dwaj współnicy do wozu pociągu towarowego.

Gdy Bek przyszedł do przytomności, drżąc z bólu i wściekłości, zrozumiał, że został uwieziony w pociąg, gdyż podczas swych wycieczek z sędzią poznał już ten środek komunikacji.

Jego oczy, przebudzone z omdlenia, wyrażały gniew i oburzenie zdradzonego monarchy. Nagle zauważył obok siebie człowieka, któremu wręczył go Manuel. W jednej chwili, pijany z wściekłości, Bek skoczył na niego, lecz prawie równocześnie sznurek zacisnął mu się na szyi i zdusił go... Jednak potężne szczęki psa miały czas zamknąć się, miażdżąc rękę brutalnego człowieka do kości...

Człowiek ze służby pociągowej przybiegł na hałas.

— To bydlę ma napady epilepsji — rzekł złodziej, chowając swą zakrwawioną rękę pod marynarkę. — Odesłano go do San-Francisco, aby go oddać na kurację do znanego weterynarza. Nie żał pieniędzy, taki pies... jego właściciel bardzo dba o niego...

Człowiek oddalił się, kontentując się tem wyjaśnieniem.

Lecz gdy przybyli do San-Francisco, ubranie zło-

dzieja było w łachmanach, nogawka spodni wisiała rozdarta od kolana, i chustka, którą miał owiniętą rękę, była zabarwiona ciemną purpurą. Podróż, widocznie, była ożywiona.

Złodziej zaciągnął Beka nawpół żywego do podejrzanej szynkowni na wybrzeżu i tutaj, oglądając swe rany, wylewał swe uczucia przed oberżystą.

— Przeklęte zwierzę! To jest dopiero wściekłość! mruczał, wychylając dużą szklankę dzynu; pięćdziesiąt dolarów za taką robotę!... Na moją duszę, nie powtórzę tego za tysiąc!...

— Pięćdziesiąt? spytał szynkarz. A wiele dostał drugi?

— Hm... On za nic nie chciał oddać tego podłego bydlęcia mniej jak za sto... mruknął złodziej.

— Sto pięćdziesiąt! Do licha! On wart tych pieniędzy, rzekł oberżysta, oglądając psa.

Złodziej zdjął grubą opaskę ze swej zranionej ręki.

— Niech dyabli porwą, ja mogę dostać wściekliny!... wykrzyknął z gniewem.

— Niema obawy! Co ma wisieć, to nie utonie... roześmiał się szyderczo szynkarz. Ale czy nie uważasz, że czas by już był zdjąć mu obrożę?

Odurzony, cierpiąc okrutny ból w gardle, zmordowany, nawpół zaduszony, Bek chciał stawić opór swym dręczycielom. Lecz sznurek udaremnił wszystkie jego wysiłki; zdołano wkońcu przepiłować ciężką obrożę miedzianą z wypisanem na niej nazwiskiem sędziego. Wtedy ludzie ci zdjęli mu postronek i wrzucili go do skrzyni, zakratowanej z jednej strony żelaznymi prętami.

Spędził tam smutną noc, rozważając swe udręczenia i zniewagi. Nie rozumiał nic z tego. Czego od niego chcieli ci ludzie? Dlaczego tak znęcali się nad nim? Przy najmniejszym szmerze podnosił uszy, myśląc, że ujrzy sędziego, lub przynajmniej jednego z jego synów. Lecz gdy spostrzegł pijacką twarz oberżysty lub podejrzane oblicze swego towarzysza podróży, radosny okrzyk, który drżał mu w gardle, zamieniał się w głęboki, dziki ryk.

Wkońcu wszystko umilkło. O świcie czterech jakichś

osobników o minach, nie wróżących nic dobrego, wzięło skrzynię, w której był zamknięty Bek, i włożyło ją na wóz.

Bek począł szczekać zajadle na nowych swych wrogów, lecz, spostrzegłszy wkrótce, że ci śmieją się z jego bezsilnej wściekłości, położył się w kącie swej klatki i pozostał tam, dziki, nieruchomy i milczący.

Podróż była długa. Przetadowywany z dworca na dworzec, z pociągu towarowego do pospiesznego, Bek przebył całą siłą pary wielką przestrzeń kraju. Podróż ta trwała czterdzieści ośm godzin.

Przez cały ten czas Bek nic nie jadł i nie pił. Ponieważ przy każdym zbliżeniu oficjalistów pociągu, wydawał tylko głucho warczenie, ci mścili się na nim, pozbawiając go pożywienia. Lecz nie tyle jeszcze męczył go głód, ile srogie pragnienie, które wysuszyło mu gardło, zaognione od ciśnienia sznurka. Wściekłość kipiała mu w sercu, potęgując palącą gorączkę, która go trawiła; słodycz minionego życia czyniła jeszcze boleśniejsem jego obecne położenie.

Bek zastanawiał się w swej psiej duszy nad wszystkim, co wydarzyło się z nim w ciągu tych dwóch dni, pełnych niezwykłych i okropnych wypadków, i czuł wzburzenie w nim oburzenie i gniew, wzmagane przez niezwykcyjne uczucie głodu, który mu szarpał wnętrzności. Biada pierwszemu, ktoby mu się nawinął w tej chwili! Nawet sędzia z trudnością mógłby poznać w tym dzikim zwierzęciu dobrodusznego towarzysza swych spokojnych dni; co zaś do oficjalistów pociągu, to wydali oni westchnienie ulgi, wyładowując w Seattle skrzynię, zawierającą „dzikie zwierzę“.

Czterej ludzie ostrożnie podnieśli skrzynię i przenieśli ją na jakieś podwórze ciasne i ciemne, otoczone wysokim murem; na podwórzu tem znajdował się niski, przysadzisty człowiek z fajką w zębach, w czerwonej, wełnianej koszulce z rękawami, zawiniętymi powyżej łokci.

Przeczuwając w tym człowieku nowego wroga, Bek z nabiegłymi krwią oczyma, z najeżoną sierścią, z wyszczerzonymi z pod odchylonych warg kłami rzucił się ku kracie swej klatki z prawdziwym rykiem.



...Bek był nie do poznania zmieniony...

Człowiek złośliwie się uśmiechnął; położył swą fajkę uzbrowszy się w siekierę i tęgi kij, śmiałym krokiem zbliżył się do klatki.

— Nie myślisz chyba go wypuścić? — krzyknął jeden z tragarzy, pośpiesznie usuwając się na bok.

— Tak przypuszczasz?... Poczekał no!... odrzekł człowiek, wsuwając jednym ruchem siekierę między deski skrzyni.

Obecni pośpiesznie umknęli i za chwilę znaleźli się na murze, otaczającym podwórze, przypatrując się stamtąd niezwyklemu widowisku.

Gdy Bek usłyszał uderzenie siekiery o ściany swej klatki, wstał i, gryząc pręty, drżąc z gniewu i niecierpliwości, czekał.

— Zaraz pogadamy z sobą, przyjacielu!... Będziesz ty dopiero robił do mnie słodkie oko!... mruknął człowiek w czerwonej koszulce.

I gdy tylko zrobił otwór, wystarczający, aby przepuścić psa, odrzucił siekierę i stanął na pogotowiu, trzymając mocno swój kij.

Bek był nie do poznania; z nalanemi krwią oczyma, z pianą u pyska, podobny do rozwścieczonego dzikiego zwierza, rzucił się na swego przeciwnika... Lecz w tej samej chwili, kiedy miał już ścisnąć w swych żelaznych szczękach jego rękę, został powalony na ziemię uderzeniem, skierowanym umiejętnie w samą czaszkę. Zęby ścisnęły mu się konwulsyjnie; lecz zerwał się jednym skokiem i dysząc ślełą wściekłością rzucił się znów; i znów został uderzony ze straszną siłą. Wściekłość wzbierała w nim coraz więcej. Wracił do ataku poraz dziesiąty i dwudziesty, i przy każdej próbie zapęd jego powstrzymywało okropne uderzenie z ręki silniejszego wroga. Wkońcu, ogłuszony, nieprzytomny, zadyszany, Bek pozostał nieruchomy na ziemi; krew sączyła mu się z pyska i z uszu; jego piękna sierść była splamiona krwawą pianą; szlachetne serce nieszczęśliwego zwierzęcia rozrywało się z boleści i bezsilnej wściekłości...

Wtedy człowiek zbliżył się o krok, i chłodno, rozmyślnie, biorąc kij w obie ręce, wymierzył psu piekielne uderzenie w nos. Szalony ból obudził Beka z odrętwie-

nia—żaden z poprzednich ciosów nie dorównał temu. Z rykiem szaleństwa zerwał się raz jeszcze do walki. Lecz przeciwnik, nie ruszając się z miejsca, schwycił otwartą paszczę psa i ścisnąwszy w swych żelaznych palcach jego dolną szczękę, wstrząsnął nim, zakołysał i wkońcu, podniósłszy go z ziemi w rękach, zakręcił wkoło i z całym rozpędem rzucił głową naprzód na mur.

To uderzenie, zarezerwowane na koniec, zapewniło mu zwycięstwo. Bek leżał nieruchomo, bez sił.

— No cóż? Wierzysz teraz? W poskramianiu psów on niema sobie równego!... wykrzykiwali zachwyceni widzowie.

— Niech dyabli wezmą—rzekł jeden z nich, odchodząc,—wolałbym tłuc kamieniem na szosie przez całe życie, niż zajmować się takim rzemiosłem... Nie miałbym sumienia do tego.

Bek odzyskiwał powoli zmysły, lecz nie siły. Leżał wyciągnięty na miejscu, gdzie został powalony, śledząc przygasłym wzrokiem ruchy człowieka w czerwonej koszulce.

Ten zbliżał się spokojnie.

— No cóż, mój mały?...—odezwał się z pewnym surowym humorem—jak się czujesz?... Lepiej trochę, co?... Zdaje się, że nazywasz się Bek—dodał, oglądając kartkę, przyczepioną do kratki skrzyni.—Dobrze. A więc, Bek, mój przyjacielu, słuchaj, co ci powiem: Mam nadzieję, że się rozumiemy. Ty musisz poznać swoje miejsce. Ja będę umiał także zachować swoje. Jeśli jesteś dobrym psem, to wszystko będzie dobrze. Jeśli zaś zechcesz się gniewać, to ten kij nauczy cię rozumu. Zrozumiałeś, nieprawdaż?...

I bez wszelkiej obawy pogłaskał swą szorstką ręką potężną głowę psa, jeszcze zakrwawioną od jego ciosów. Bek uczył, że sierść mu się podnosi przy tem dotknięciu, lecz poddał się bez oporu. I gdy człowiek przyniósł mu miseczkę świeżej wody, pił chciwie; przyjął następnie kawałek mięsa, który ten podawał mu po kasku.

Zwyciężony pies otrzymał lekcję, której nie zapomniał przez całe życie: poznał, że był bezsilny wobec

istoty ludzkiej, uzbrojonej w kij. Zetknawszy się po raz pierwszy z prawem pierwotnem, widząc w całej nagości nowe, nieubłagane warunki swej egzystencji, zataił w swej pamięci wspomnienia rozkosznych dni minionych i postanowił cierpieć nieunikniony los.

Inne psy przybywały w wielkiej ilości, jedno posłuszne i wesołe, inne — dzikie, jak on; lecz każdy z nich otrzymywał po kolei swą lekcję. I każdy raz, kiedy przed oczyma Beka powtarzała się brutalna scena, którą sam przeżył, lekcya ta wrzynała mu się w umysł coraz głębiej: nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że należy poddać się prawu silniejszego...

Lecz jakkolwiek przekonany o tej ciężkiej konieczności, Bek nie poniżał się nigdy, jak niektórzy z jego towarzyszków, którzy, pobici, płaszcząc się, lizali rękę swego pana. Bek był wprawdzie uległy, lecz nie zatracił swego dumnego stanowiska i hardo odrażającego człowieka...

Często przychodzili tutaj obcy ludzie. Badano psy, płacono pieniądze, wreszcie uprowadzano jednego lub kilku z jego towarzyszków, którzy więcej już nie wracali. Bek nie wiedział, co to wszystko znaczy.

Wkońcu przyszła kolej na niego.

Pewnego dnia zjawił się w psiarni jakiś mały, ruchliwy człowiek o przebiegłym wyrazie twarzy, sypiąc dziwaczniemi wyrażeniami, niezrozumiałemi dla Beka.

— Sakramencka potwora! — zawołał, zauważywszy wspaniałe zwierzę. — To jest dopiero fajny pies!... Niech mię szlag trafi!... Ile?...

— Trzysta dolarów. Conajmniej! To jest dla was prawdziwy podarunek! — odpowiedział pospiesznie handlarz psów. — To pieniądze rządowe, nie macie co krępować się, prawda, Perrault?

Perrault uśmiechnął się pod wąsem. Do dyabła! nie, to nie było za wiele za takie zwierzę; rząd kanadyjski nie będzie żałował tego, gdy zobaczy, że poczta przychodzi o połowę szybciej, niż zwykle. Perrault był znawcą. I gdy zbadał Beka, zrozumiał, że nie spotka nigdy równego mu psa.

Bek, słuchając uważnie, uchwycił brzęczenie pienię-

dzy, które gość odliczał jego pogromcy. Potem Perrault gwizdnął na Beka i Curly, psa nowo-funlandzkiego o znakomitym charakterze, który przybył niedawno i którego ten nabył wraz z Bekiem. Psy pobiegły za swym nowym panem.

Perrault zabrał je na parowiec pocztowy „Nerwhal“, który szybko wyruszył w podróż; patrząc z ożywieniem i wesołością na niknące na horyzoncie gmachy Seattle, Bek nie podejrzewał nawet, że jego oczy podziwiają po raz ostatni słoneczne okolice południa.

Wkrótce Perrault sprowadził psy z pokładu i powierzył je jakiemuś olbrzymowi z ogorzałą twarzą, którego zwano Franciszkiem. Perrault był franko-kanadyjczykiem o dość ciemnej cerze; lecz Franciszek miał łącie brązową skórę metysa *).

Bek nie spotykał nigdy ludzi tego typu; uczuł też dla nich wkrótce szczerą szacunek, jakkolwiek pozbawiony wszelkiej tkliwości; byli to bowiem ludzie surowi i chłodni, lecz sprawiedliwi; przytem znali tak gruntownie psią naturę, że nie można ich było w niczem oszukać i to zwłaszcza nakazywało respekt.

Bek i Curly znaleźli na „Narwhal'u“ dwóch innych towarzyszków. Jeden, tęgi brytan, biały jak śnieg, przywieziony ze Szpicberga przez kapitana statku wielorybiego, był psem napozór sympatycznym, lecz fałszywego charakteru. Zaraz przy pierwszmm obiedzie ukradł Bekowi jego porcyę. Gdy ten oburzony rzucił się, aby odebrać swą własność, długi bicz Franciszka świsnął w powietrzu i spadając na nos złodzieja, zmusił go do oddania niesłusznie przywłaszczonej zdobyczy. Bek osądził, że Franciszek jest sprawiedliwym człowiekiem i począł mieć dla niego uznanie.

Drugi pies miał charakter kwaśny i zgryźliwy; Curly, która poczęła mu świadczyć różne grzeczności, przekonała się wkrótce, że Dave pragnął tylko jednego — mianowicie spokoju. Lecz nie kradł przynajmniej cudzych porcyj. Zdawał się myśleć tylko o jedzeniu, piciu,

*) Metys — człowiek, pochodzący ze związków mieszanych Europejczyków z Indianami.

spaniu i rozpuście. Poza swemi potrzebami nie interesował się niczem.

Płynęły dni za dniami, długie, jednostajne. Temperatura powoli się obniżała. Nigdy przedtem Bek nie czuł tak silnego chłodu.

Wreszcie hałas śruby parowej umilkł; statek pozostał nieruchomy; natychmiast rozpoczął się gorączkowy ruch wśród pasażerów. Franciszek wziął psy na smyczę i wyprowadził na pokład. Rozpychając się i potrącając, torowano sobie drogę do mostku; wkrótce Bek poczuł, że nogi zagłębiły mu się w jakiejś miękkiej, białej substancji, podobnej do mokrego, zimnego kurzu. Warcząc, cofnął się wtył; małe cząsteczki tej samej białej substancji spadały, czepiając się jego sierści. Zaciekawiony, złapał jedną z nich w powietrzu i zdumiał się: te dziwne białe płatki paliły jak ogień i rozpływały się jak woda...

A widzowie wybuchli śmiechem.

Zdumienie Beka było jednak zupełnie usprawiedliwione, gdyż widział śnieg po raz pierwszy w swem życiu.

II.

PRAWO KIJA I ZĘBÓW.

Pierwszy dzień, spędzony na wybrzeżu Dyea, był dla Beka istnym snem. Nie było godziny, któraby mu nie przynosiła jakiegos waruszenia lub niespodzianki. Wyrwany brutalnie z życia lenistwa i ciepła słonecznego, ujrzał się niespodziewanie przeniesionym z serca cywilizacyi w sam środek życia barbarzyńskiego. Nie było tu ani zapewnionego bytu, ani spoczynku, ani bezpieczeństwa; wszędzie zamieszanie, wszędzie niepewność, wszędzie grotące ciosy. Należało być tutaj ciągle na baczności, gdyż zarówno zwierzęta jak ludzie nie znali innych praw, prócz prawa kija i zębów. Niezliczone mnostwo psów pokrywało tę nową ziemię i Bek nie widział nigdy nic straszniejszego od walk, które staczały z sobą te zwierzęta, podobne do wilków; pierwsze zeiknięcie z niemi utkwilo mu na zawsze w pamięci. Doświadczenie nie dotknęło jego bezpośrednio, gdyż w tym wypadku nie mógłby już później z niego korzystać; ofiarą padła Curly. Ta ostatnia, wierna swemu towarzyskiemu charakterowi, poszła zapoznać się z jednym dzikim psem, wzrostu dużego wilka, lecz o połowę szczuplejszym od niej. Ten nie dał jej długo czekać na odpowiedź: srybkim jak błyskawica skokiem rzucił się na nią, rozległ się metaliczny szрек zębów, potem nastąpił drugi skok, niemniej zręczny, i pysk Curly został rozdarty od oka do szczęki.

W ten sposób walczy wilk: atakuje i ucieka; lecz sprawa nie skończyła się na tem. Ze trzydzieści lub

czterdzieści włóczęg zbiegło się natychmiast i utwo-
rzyło wkoło walczących uważny i milczący krąg. Bek
nie rozumiał jeszcze wtedy, co znaczy to grobowe mil-
czenie i oblizywanie warg...

Curly podniosła się i rzuciła na przeciwnika, który
znów ją ukąsił i odskoczył dalej. Przy trzecim ataku
pies odbił piersią rzut Curly w ten sposób, że ta ostatnia
upadła i nie mogła się już podnieść. Do tego tylko
zmierzał przeciwnik. W jednej chwili cała sfera rzuciła
się na nią i Curly, piszcząc rozpaczliwie, została za-
łana dziką, wyjąca masą. Było to tak nagle i nieocze-
kiwanie, że Bek osłupiał. Ujrzał Szpicą, który wynu-
rzył się z tej masy z wywieszonym językiem — zna-
czyło to u niego uśmiech — i Franciszka, który wy-
machując siekierą, rzucił się między psy. Trzej ludzie,
uzbrojeni w kije, pomogli mu rozproszyć je, co nie
potrwało długo. W dwie minuty po upadku Curly,
ostatni napastnik uciekał sromotnie z placu boju, pod-
czas gdy ta leżała martwa na śniegu, zdeptanym i za-
krwawionym wkoło niej, a metys wydawał straszliwe
przekleństwa. Bek długo zachował wspomnienie tej
okropnej sceny.

Nie ochłonawszy jeszcze po tragicznej śmierci Curly,
Bek przebył nową próbę. Franciszek włożył na niego
zaprząg z rzemieni, połączonych sprzączkami; była
to uprząż, podobna do tej, jaką widział tak często na
koniach; i tak, jak one, musiał ciągnąć sanki, wożąc
swego pana do lasu, obrębającego dolinę, i wracać
z powrotem z ładunkiem drzewa. Jakkolwiek duma
jego była głęboko zraniona tem przekształceniem go
w bydlę pociągowe, był jednak za rozsądny, aby się
buntować; zabrał się śmiało do pracy i czynił wszystko,
co mógł, nie zważając na nowość i niezwykłość tych
ćwiczeń.

Franciszek był surowy i wymagał bezwzględного
posłuszeństwa, które zresztą zapewniała mu potęga
jego bicia. Równocześnie Dave, doświadczony w swem
rzemiośle, szczyrzył zęby na Beka z tyłu, przy każdej
jego pomyłce. Szpic, biegnący na czele zaprzęgu ze
sprawnością starego wyjadacza, nie mogąc osiągnąć

nowego ucznia, warczał na niego surowo, lub zrećnie naciskał całym swym ciężarem na ramię, zmuszając go do skierowania się we właściwą stronę. Bek pojmował prędko i w kilka godzin zrobił zdumiewające postępy, dzięki połączonym naukom swych dwóch towarzyszy i Franciszka. Wprzód, nim udano się tego dnia na spoczynek, Bek umiał zatrzymywać się przy okrzyku „Ho!” i ruszać się przy „Mush!”, zbaczać od sanek na skrętach i unikać ich przy zjeżdżaniu z pochyłości.

— To są trzy znakomite psy — mówił Franciszek do Perrault'a. Ten Bek ciągnie, jak dyabeł; i nauczył się zadziwiająco w krótkim czasie.

Po południu Perrault, który spieszył się z odjazdem, gdyż miał dostarczyć pilne listy, wrócił, przyprowadzając dwa nowe psy, silne i wytrzymałe. Billee i Joe, obaj synowie jednej matki, różnili się między sobą, jak dzień i noc. Jedyną wadą Billee była nadmierna łagodność; podczas gdy Joe, o złem wejrzeniu, mrukliwy, nietowarzystki i wiecznie warczący, stanowił zupełne przeciwieństwo charakteru swego brata. Bek powitał ich po przyjacielsku, Dave nie zwrócił na nich uwagi, a Szpic zabrał się do oćwiczenia ich. Billee dla złagodzenia go począł machać ogonem; lecz jego pokojowe zamiary nie miały żadnego powodzenia i po chwili biedak zaczął jęczeć, czując jak spiczaste zęby Szpica orały mu boki. Co zaś do Joe, to z której tylko strony Szpic chciał go atakować, znajdował go zawsze w obronnej pozycji. Ze stulonemi uszami, z najeżoną sierścią, z odchylonemi, drgającemi wargami, ze szczękami, gotowemi do kąsania, z dyabelskimi ognikami w oczach, przedstawiał on istne wcielenie wojowniczego strachu. Wygląd jego był tak groźny, że Szpic musiał rzec się poskromienia go i aby zatuszować swe niepowodzenie, uderzył znów na biednego, niewinnego Billee i ścigał go do samego końca placu.

Wieczorem Perrault przyprowadził jeszcze jednego psa, starego „kusky* *) długiego, chudego, wynędznia-

*) Ples krajowy, nawpół dziki.

łego, pokrytego chlubnymi bliznami, zdobytymi w wielu walkach i posiadającego jedno oko; lecz oko to błyszczało taką dzielnością, że odrazu zjednywało mu respekt.

Nazywał się Sol-leck, co znaczy Niezadowolony. Podobnie, jak Dave, nie żądał niczego, nie oczekiwał niczego, i gdy zbliżył się wolno i śmiało do grupy psów, nawet Szpic pozostawił go w spokoju. Zauważono wkrótce, że nie znosił, by ktoś zbliżał się do niego od strony ślepego oka. Bek miał nieszczęście dokonać tego odkrycia i ciężko je odpokutował, gdyż Sol-leck jednym ruchem rozdarł mu ramię na długość trzech centymetrów. Bek na przyszłość unikał starannie powtórzenia tej zaczepki, i obaj pozostali do końca dobrymi przyjaciółmi. Sol-leck zdawał się nie mieć, podobnie jak Dave, innego pragnienia, prócz spokoju, a jednak Bek odkrył później, że jeden i drugi nosili w głębi serca gorącą namiętność, o której będzie mowa dalej.

Tej nocy Bekowi wypadło rozwiązać wielkie zagadnienie — snu. Namiot, oświetlony wewnątrz świecą, rzucał ciepłe światło na białą płaszczyznę śniegu. Lecz gdy Bek w dobrej wierze wszedł do środka, Perrault i Franciszek poczęli go bombardować przekleństwami i sprzętami kuchennymi i zmusili do cofnięcia się w przestraszu z powrotem na mróz.

Dął straszny wiatr, który przejmował go zimnem i przy którym rana na ramieniu piekła go szczególnie dotkliwie. Położył się na śniegu i próbował zasnąć, lecz mróz zmusił go wkrótce do zerwania się na nogi; nędzny i strapiony, błąkał się, szukając napróżno jakiegoś cieplejszego zakątka. Od czasu do czasu psy miejscowe próbowały na niego napadać, lecz wtedy warczał i jeżył sierść na karku (nauczył się szybko tej obrony) i stawiał im czoło tak groźnie, że napastnicy ustępowali wkrótce, i mógł bez przeszkody błędzić dalej.

Naraz przyszło mu do głowy zobaczyć, jak wywiązali się z tej trudności jego towarzysze zaprzęgu. Ku wielkiemu swemu zdumieniu, nie znalazł żadnego z nich; przebiegł raz jeszcze plac, potem wrócił do

miejsca, z którego wyruszył, lecz wszelkie poszukiwania były daremne. Przekonany, że nie mogą być w namiocie, gdyż sam został stamtąd wypędzony, puścił się w nową wędrowkę, dzwoniąc zębami, z opuszczonym ogonem, czując się bardzo nieszczęśliwym. Naraz śnieg obsunął się mu pod łapami, i wpadł w dół, w którego głębi coś się poruszało: w obawie przed tym niewidzialnym i nieznanym wrogiem, odskoczył szybko w tył, warcząc i jeżąc sierć. Lecz z dołu rozległo się przyjazne mruczenie, które zachęciło go do dalszych poszukiwań; po chwili owiało go tchnienie ciepłego powietrza i równocześnie ujrzał Billee zwiniętego w kulę pod śniegiem. Ten zapiszczał łagodnie i dla okazania swych dobrych intencji i pokojowego usposobienia, przewrócił się na plecy, posunął się nawet do tego, że polizał swym ciepłym, mokrym językiem pysk intruza.

Była to nowa nauka dla Beka, który natychmiast wyszukał sobie podobne miejsce i po wielu bezowocnych wysiłkach zdołał wreszcie wykopać dół. W jednej chwili ciepło jego ciała ogrzało tę małą przestrzeń i Bek znalazł zasłużony wypoczynek.

Po długim i mozolnym dniu sen Beka, jakkolwiek głęboki, był zakłócony przez senne marzenia, w których staczał walki i utarczki z chimerycznymi wrogami.

Otworzył oczy dopiero przy hałasie, dochodzącym z zewnątrz. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie się znajduje. Śnieg przez noc zawiął go zupełnie i teraz ze wszystkich stron był otoczony tym obmarzłym murem. Pochwycił go strach dzikiego zwierzęcia, złapanego w pułapkę: uczucie to odezwowało się w nim, jako echo dawnego instynktu jego przodków, gdyż będąc psem cywilizowanym, nie miał pojęcia o pułapkach. Wszystkie mięśnie jego ciała instynktownie się naprężyły; sierść podniosła mu się na głowie i ramionach i z dzikim pomrukiem Bek wydostał się wkrótce na światło dzienne, otrząsając się ze śniegu.

Wprzód jeszcze, nim stanął na nogi, obrzucił wzrokiem przestrzeń przed sobą i w jednej chwili, szybko, jak błyskawica, przypomniał sobie wszystko, co z nim

zaszło od czasu spaceru z Manuelem aż do jamy, którą sobie wykopał ubiegłej nocy.

Powitał go okrzyk Franciszka.

— Co ja tobie mówiłem? — zawołał ten do Perraulta. — Ten Bek jest przebieglejszy od małpy! Uczy się ze zdumiewającą szybkością.

Perrault kiwnął głową z poważną, potwierdzającą miną. Mając powierzone odwożenie poczty rządu kanadyjskiego i dostarczanie ważnych listów, dbał bardzo o nabycie najlepszych psów i Bek zadawałniał go w zupełności.

* * *

W niecałą godzinę później trzy nowe psy zostały dołączone do zaprzęgu, który teraz składał się w całości z dziewięciu zwierząt; a jeszcze za kwadrans, wszystkie razem pędziły w kierunku Dyea-Canon. Bek był zadowolony z odjazdu i chociaż praca była ciężka, nie wydała mu się wcale nudną. Uderzał go zapach, który przejmował cały zaprząg i który ogarnął wkońcu i jego, lecz najbardziej zdumiewał się nieoczekiwaną zmianą w usposobieniu Dave'a i Sol-leck'a, które w zaprzęgu były jakby odrodzone. Cała ich obojętność znikła; żywe, ruchliwe, przejęte pragnieniem, aby praca szła dobrze, objawiały najwyższe rozdrażnienie przy każdej zwłoce, przy najmniejszym nieporządku lub błędzie.

Cały wyraz ich dusz objawiał się w gorliwym ciążnieniu postronków, najwyższym celu, dla którego żyli i który jedynie był w stanie ich zadowolnić. Dave był ostatnim w zaprzęgu; przed nim biegli Bek i Solleck; dalej następowały inne psy, wyciągnięte w szereg indyjski, a na czele był przewodnik Szpic.

Beka umieszczono między Dave'm i Solleck'iem dla uzupełnienia jego edukacji. Będąc dobrym uczniem, Bek miał jeszcze wiele do nauczenia się; uczył się też wiele od swych dwóch nauczycieli, którzy nie dawali mu nigdy pozostawać długo w błędzie i posiłkowali się w swych naukach argumentem swych ostrych zębów.

Dave był sprawiedliwym i umiarkowanym. Nie kąsał

nigdy Beka bez racyi, lecz przy najmniejszej niedokładności nie zapominał go skarcić; ponieważ wtórował mu zawsze bicz Franciszka, przeto Bek uznawał za praktyczniejsze poprawiać się, niż odpowiadać.

Podczas krótkiego przystanku Bek zaplątał się w uprzęży i opóźnił odjazd, za co otrzymał karę równocześnie od Dave'a i Solleck'a. Wynikł stąd jeszcze większy nieład, lecz odtąd pies unikał troskliwie ponownej pomyłki i pod koniec dnia włożył się tak dobrze w swą pracę, że towarzysze przestali go karcić. Bicz Franciszka trząsał też rzadziej, a Perrault zaszczycił nawet Beka podczas przerwy troskliwem zbadaniem mu łap.

Był to dzień uciążliwego marszu. Przejechano Canon, Sheep-Camp, Scales i granicę lasów, przedostano się przez lodowce i zasypy śnieżne, głębokości kilkuset stóp, minięto wreszcie Chilcoot-Divide, granicę wód słodkich i słonych, strzegącą z troskliwą zazdrością posępną, pustą Północy.

Natrafiono naraz na łańcuch jezior, wypełniających kratery wygasłych wulkanów; było już dobrze pod wieczór, gdy wkońcu zatrzymano się na rozległej płaszczyźnie na lodzie jeziora Bennett, gdzie tysiące poszukiwaczy złota budowało łodzie w przewidywaniu roztopienia lodów na wiosnę. Podobnie jak poprzedniej nocy, Bek wykopał sobie dół w śniegu i zasnął snem sprawiedliwego, aby wygrzebać się nazajutrz wśród ciemnej nocy i wyruszyć w dalszą podróż.

Zrobiono przez ten dzień czterdzieści mil, gdyż droga była utarta; lecz nazajutrz i przez wiele dni następnych podróżni musieli sami torować sobie drogę, dzięki czemu praca dla psów była cięższa i posuwano się wolniej. Zwykle Perrault szedł na przedzie, zgarbiając śnieg butami, aby ułatwić drogę sankom. Franciszek podtrzymywał sanie za drążek i rzadko zamieniał miejsce ze swym towarzyszem. Perrault spieszył się i mówił, że zna dobrze lód; było to ważne, gdyż świeża warstwa była dość cienka, a na wodzie bieżącej nie było go wcale.

Przez długie dni Bek chodził w zaprzęgu. Wsta-

wano codziennie o zmroku i pierwsze blaski zorzy zastawały już podróżnych w drodze, w odległości kilku mil od miejsca noclegu. Rozkładano obóz także późno w noc, psy dostawały swe porcje ryby i kładły się spać w śniegu; Bekowi nie wystarczał otrzymywany posiłek; półtora funta suszonego łososia, co stanowiło jego całodzienne pożywienie, było niedostatecznem dla zadowolenia jego potężnego apetytu. Nie był nigdy syty i głód ustawicznie mu dokuczał; tymczasem inne psy, które ważyły mniej i były stworzone do tego życia, dostawały zaledwie funt i miały się zupełnie dobrze. Bek stracił wkrótce delikatność smaku, która była wynikiem jego poprzedniego wychowania. Spostrzegł się, że psy, które kończyły wcześniej swój posiłek, kradły mu resztę porcyi, przeciw czemu był zupełnie bezbronny, gdyż ilekroć oddalił się, aby ścigać napastnika, inni chwyтали szybko pozostawiony kąsek. Aby zapobiedz temu stanowi rzeczy, począł jeść tak prędko jak inni, a gdy głód mu dokuczał, nie wahał się za ich przykładem przywłaszczyć sobie cudzą własność, gdy tylko nadarzała się sposobność.

Widząc, że Pike, jeden z nowych psów, wprawny złodziej, ściągnął za plecami Perraulta kawałek szynki, Bek powtórzył tę operacyę, a na drugi dzień udoskonalił ją jeszcze, kradnąc całą szynkę. Powstał wielki hałas, lecz winowajca uszedł podejrzeń, podczas gdy Dub, niezgrabny roztrzepaniec, który zawsze dawał się złapać, został ukarany za winę, popełnioną przez Beka.

Wszystkie zalety, i wady, uwydatnione przez naszego bohatera w tym pierwszym akcie bandytyzmu, świadczyły tylko, że odniósł zwycięstwo nad wszystkiemi przeciwnościami swego nowego życia; okazał, że zerwał ze swą moralnością, rzeczą bezużyteczną i szkodliwą w tej surowej walce o byt; poza tem, Bek nie kradł z zamiłowania, lecz z potrzeby, skrycie i zręcznie, z obawy przed kijem lub zębami.

Rozwój fizyczny Beka był kompletny i szybki, mięśnie nabrały twardości żelaza, stał się nieczułym na ból; jego układ wewnętrzny i zewnętrzny zmienił się. Mógł jeść bez różnicy rzeczy najbardziej wstrętne i nie-

strawne. Wzrok i powonienie doszły u niego do najwyższej subtelności, a słuch stał się tak czułym, że we śnie chwycił najłżejszy szmer i rozróżniał jego pokojowy lub groźny charakter. Nauczył się wyrwać sobie zębami kawałki lodu, przymarzające mu do stóp; a gdy chciał się napić, umiał rozbijać przednimi łapami grubą skorupę lodu. Główną jego zdolnością było przeczucie wiatru i przewidywanie go o całą noc wcześniej. Największy spokój powietrza wieczorem, gdy Bek kopał sobie legowisko obok drzewa lub pochyłości, nie był w stanie wprowadzić go w błąd i wiatr, który zrywał się później, zastawał go ciepło ukrytego, zwróconego grzbietem na północ.

Doświadczenie nie było jego jedynym mistrzem, gdyż budziły się w nim uśpione instynkty, a wytwory pokoleń oswojonych znikwały powoli.

Nauczył się bez trudu walczyć, jak wilki, w sposób, w jaki walczyli niegdyś jego dawni przodkowie. W mroźne, spokojne noce, gdy podnosząc pysk ku gwiazdom, wył przeciągle, odzywał się w nim głos wymarłych pokoleń, od których dzieliły go szeregi wieków. Dźwięczał w nim rytm ich monotonnej pieśni, tej pieśni, która była wyrazem spokoju, mrozu i ciemności...

Lata odosobnionego życia, podczas których zmiany gatunku nie zdołały zatrzeć ciągłości rasy, jej istotnych rysów, głęboko zakorzenionych w psiej naturze, pozostały bez śladu wpośród budzących się instynktów pierwotnych i w duszy Beka odżyła naraz stara pieśń, a przeszłość odzyskała nad nim swą władzę.

III.

ZWIERZĘ PIERWOTNE PANUJE.

W ciężkich warunkach swego nowego życia, Bek podpadał wprawdzie pod władzę dawnych, zapomnianych instynktów, lecz hodował je w tajemnicy. Nowa przebiegłość nakazywała mu równoważyć je i tłumić. Nie będąc jeszcze o tyle obeznanym z tem życiem, tak różnem od dawnego, aby czuć się w niem swobodnie, unikał wszelkich zatargów; nie zdradzał więc najmniejszą niecierpliwością śmiertelnej nienawiści, jaką czuł do Szpica i starannie unikał zaczepiania go.

Szpic zaś, odgadując w Beku niebezpiecznego wroga, korzystał z każdej sposobności, aby mu pokazać zęby. Napadał nawet na niego zupełnie bez powodu, pragnąc w ten sposób wywołać walkę, któraby się zakończyła śmiercią jednego z nich. Już na początku podróży między psami o mało nie wybuchło śmiertelne starcie. Po dniu uciążliwego marszu rozłożono obóz na brzegu jeziora Barge. Ciemność, padający śnieg i wiatr, który ciął jak brzytwa, zmusiły podróżnych do szukania pospiesznie i poomacku miejsca nocnego schronienia. To też rozłożono obóz w bardzo niewygodnem miejscu. Z tyłu wznosił się mur uwistych skał i ludzie zmuszeni byli rozpalić ogień i rozpostrzeć swe skórzane worki na gołej powierzchni lodu: namiot swój pozostawili bowiem w Dyea, aby ulżyć ciężaru sancom. Z kilku znalezionych kawałków drzewa rozpalono ogień, który roztopiał lód, zanurzając się w wodzie, i podróżni musieli zjeść pociemku swój posiłek,

Bek urządził sobie legowisko u podnóża skał; było tak zimno, że z wysiłkiem podniósł się, gdy Franciszek przyszedł rozdzielić ryby, odgrzane przedtem przy ogniu. Lecz gdy po kolacyi Bek wrócił do swego gniazda, zastał je zajęte. Mruczenie z wewnątrz dało mu poznać, że napastnikiem był Szpic. Bek unikał aż dotąd wszelkich zatargów z swym wrogiem, lecz tym razem miał nadto. Dzikie zwierzę, które w nim drzemało, obudziło się naraz z gwałtowną siłą; rzucił się na Szpica z wściekłością, która zdumiała tego ostatniego, nawykłego do uważania Beka za nieśmiałego psa, zawdzięczającego swą wyższość jedynie silnej budowie i wadze.

Franciszek był również zdumiony, widząc psy, nacierające na siebie tuż obok legowiska, lecz odgadł przyczynę bójk.

— Mój ty biedaku — zawołał do Beka — daj mu porządnego łupnia, temu podłemu złodziejowi!

Szpic szykował się do ataku. Wyjąc z wściekłości i wojowniczej gorączki, kręcił się wkoło Beka, upatrząc dogodnej chwili, aby skoczyć na niego. Bek, niemniej roznamiętniony, lecz pełny rozważi, szykował się ze swej strony do napadu; lecz tej chwili zaszedł wypadek, który odsunął w odległą przyszłość rozwiązanie tego sporu.

Przekleństwo Perraulta, uderzenie kijem w kościsty grzbiet i bolesne wycie wywołało w jednej chwili okropną kakofonię.

Obóz był pokryty stadem zgłodniałych psów krajowych, w liczbie około sześćdziesięciu, przybyłych zapewne z indyjskiej wsi i zwabionych zapachem żywności podróżnych. Wślizgnęli się niepostrzeżenie podczas bójki Beka ze Szpicem i gdy obaj podróżni rzucili się z kijami między rabusiów, ci pokazali zęby i stawili opór. Zapach żywności doprowadził ich do obłędu. Perrault spostrzegł jednego z napastników, który zanurzył łeb w skrzyni z prowizją, i wymierzył mu ciężki cios kijem w wystające boki; skrzynia wywróciła się na ziemię. W tej samej chwili, nie zważając na kije, rzuciło się ze dwadzieścia zgłodniałych zwierząt na

chleb i szynkę, wyjąc i skomląc pod razami, lecz niemniej żarłocznie wydzierając sobie ostatnie resztki żywności.

Tymczasem psy z zaprzęgu, zdziwione, wyskoczyły ze swych nor i wkrótce między nimi a napastnikami wywiązała się straszna walka. Bek nie widział w swem życiu nic podobnie niezwykłego, jak te obciążone skórą szkielety, z połyskującymi oczami, ze spienionym pyskiem; głód czynił je strasznymi i nieposkromionymi.

Przy pierwszym napadzie psy z zaprzęgu zostały odrzucone do podnóża skał. Na Beka napadło trzech; i w okamgnieniu głowa i ramiona psa zostały poranione i broczyły krwią. Powstał straszny zgiełk. Billee piszczał, jak zwykle. Dave i Sol-leck, ociekając krwią z licznych ran, walczyli dzielnie, bok przy boku; Joe kąsał, jak wściekły; jeden raz ścisnął w swych szczękach nogę napastnika i rozległ się zgrzyt kości. Pike rzucił się na okaleczone zwierzę i jednym ruchem zmiażdżył mu krzyż. Bek ścisnął za gardło jednego ze swych przeciwników i zanurzył mu kły w krtani; smak zalewającej go krwi rozpałił jego męstwo i ze zdwojoną zaciekłością rzucił się na drugiego wroga; lecz równocześnie poczuł ostre zęby, zagłębiające mu się w szyi: był to Szpic, który zdradziecko napadł na niego z boku.

Perrault i Franciszek, zdążywszy tymczasem odpedzić napastników od obozu, rzucili się na pomoc i Bek zdołał się wyswobodzić. Lecz podróżni musieli po chwili wrócić do skrzyni z konserwami, zagrożonej znów przez rabusiów; tym razem ci ostatni, zmniejszeni w liczbie, lecz rozwścieczeni, przedstawiali tak groźny widok, że Billee, który czerpał swe męstwo z nadmiaru strachu, wydostał się z groźnego koła i uciekł na lód, narażając się na zimną kąpiel; Pike i Dub zbiegli zaraz po nim, a wkrótce i reszta zaprzęgu. W chwili, gdy Bek zawrócił za nimi, ujrzał z boku Szpica, który gotował się do skoku, chcąc go powalić na ziemię. Gdyby tylko mu się to udało, Bek zostałby rozdarty na sztuki przez groźną masę włóczęg.

Lecz zdołał obronić się szczęśliwie przed natarciem Szpica i odnaleźć swych towarzyszków na jeziorze.

Dziewięć psów z zaprzęgu, nie ściganych już przez nikogo, połączyło się znów i szukało schronienia w lesie. Przedstawiały one opłakany widok: każdy miał pięć lub sześć ran, z których kilka głębokich; Dub był ciężko ranny w tylną nogę; Dolly, ostatni pies z zaprzęgu, kupiony w Dyea, miał szeroką ranę na szyi; Joe stracił oko, a biedny Billee, któremu napastnicy odgryzli i pożarli ucho, pisał i jęczał przez całą noc. O świcie wszyscy udręczeni wrócili do obozu i ujrzeli rejterujących rabusiów, a podróżnych strapionych do najwyższego stopnia, gdyż połowa ich zapasów żywności znikła. Wszystko, co tylko dało się zjeść, padło pastwą zgłodniałych psich żołądków.

Pożarty one rzemienie od sań, worki, parę mokasynów ze skóry bawolej, należących do Perraulta, skórzane części uprzęży i odgryzły ze sześćdziesiąt centymetrów rzemienia u bata Franciszka. Ten patrzył ze smutkiem na całe to spustoszenie, gdy przybiegły poranione psy.

— Ach, moi przyjaciele — zawołał z rozpaczą — może wy dostaniecie wszystkie wściekliczny od ich zębów... Jak ty myślisz, Perrault?

Perrault potrząsnął głową, stroskany. Czteryście mil drogi było jeszcze do Dawson i przypuszczenie Franciszka przejęło go dreszczem. Upłynęły dwie godziny przekleństw i wysiłków, zanim doprowadzono rzeczy do porządku, i psy, nieostabione przez rany, ruszyły w drogę do Dawson, najuciążliwszy kurs w całej podróży.

Rzeka Thirty-Mile, łamiąc lód, toczyła swobodnie swe wzburzone fale i lód trzymał tylko w małych zatokach i w spokojnych miejscach. Potrzeba było sześciu dni uporczywej pracy i ustawicznych niebezpieczeństw, aby przebyć te okropne Thirty Mile*). Kilka razy Perrault, który szedł naprzód, próbując drogę, zapadał się w wodzie i wychodził cało tylko dzięki długiemu

*) Thirty-Mile znaczy po angielsku — trzydzieści mil.

kijowi, który niósł w ten sposób, że ilekroć lód załamywał się pod nim, końce kija wspierały się na krawędziach otworu i nie dawały mu zatonać. Mróz był straszny, termometr wskazywał 50 stopni poniżej zera i Perrault po każdej takiej kąpieli musiał rozpalać ogień i suszyć sobie odzież...

Lecz nic go nie powstrzymywało. Perrault usprawiedliwiał w zupełności zaufanie, jakim go obdarzono, czyniąc go kuryerem rządu. Jego skurczona, podstarzała, drobna figurka zjawiała się zawsze w najniebezpieczniejszych miejscach, stąpała śmiało na trzeszczących krawędziach lodu, wywołując chwilami dreszcz grozy; nie tracąc nigdy władzy nad sobą, Perrault nie znał znużenia ani obawy. Raz sanie zanurzyły się w wodzie. Dave i Bek przemarli i o mało się nie utopili. Gdy ich wyciągnięto, byli pokryci skorupą lodową i aby uratować ich od zamarznięcia, musiano rozpalić ogień i psy pędzono wokoło niego tak blisko, że przypaliła im się trochę sierść. Lecz ten zabieg uratował je od niechybnej śmierci.

Innym razem Szpic zanurzył się, pociągając za sobą część zaprzęgu, aż do Beka, który, odrzuciwszy się z całej siły w tył, wyprężył nogi, opierając je o śliską krawędź lodu. Za nim był Dave, który także czynił wszelkie możliwe wysiłki, aby zatrzymać sanki. Ze swej strony Franciszek ciągnął sanki ztytu z takim wysiłkiem, że trzeszczały mu ścięgna. Wreszcie lód załamał się na brzegu i jedyna nadzieja ratunku pozostała w wznoszących się opodal skałach. Perrault zdołał szczęśliwie wdrapać się na nie, poczem powiązano wszystkie rzemienie, paski, a nawet kawałek uprzęży w długi sznur, za pomocą którego wciągnięto psy, jednego po drugim, na wierzchołek stromego wzgórza. Franciszek dostał się ostatni, wślad za sankami i ładunkiem. Musiano potem szukać drugiego miejsca, dogodnego do zejścia, którego dokonano również przy pomocy sznura. Zapadła wreszcie noc, zatrzymując podróżnych w odległości ćwierci mili od miejsca, z którego wyruszyli zrana. Gdy po takich uciążliwych przejściach dotarto do Hootalinqua, gdzie za-

czynął się trwały lód, Bek był zupełnie wyczerpany z sił, a reszta psów znajdowała się w stanie niewiele lepszym; lecz niewzruszony Perrault, aby odbić stracony czas, żądał od zaprzęgu jeszcze większego wysiłku. Psy musiały wcześniej wyruszać w drogę i późno zatrzymywać się na spoczynek. W pierwszy dzień zaraz zrobiono trzydzieści pięć mil do Big-Salmon; na drugi dzień znów trzydzieści pięć do Little Salmon; wreszcie na trzeci przebyto trzydziestomilowy dystans i zatrzymano się niedaleko Five-Fingers.

Stopy Beka nie były tak zahartowane i wytrzymałe, jak u innych psów; wieki cywilizacji pozostawiły na nich swój ślad i wydelikatniły je. To też przez cały dzień biedny pies utykał, cierpiąc nieznośny ból, a wieczorem, jak tylko rozłożono obóz, padał jak martwy, nie mogąc nawet, pomimo głodu, pójść po swą porcję, którą Franciszek musiał mu przynosić do legowiska. Wzruszony litością, człowiek ten począł co wieczór po kolacyi nacierać mu łapy przez pół godziny, a wreszcie poświęcił nawet parę mokasynów i zrobił dla Beka cztery pantofle. Przyniosło to psu wielką ulgę; a namarszczona twarz Perraulta rozweseliła się pewnego dnia, gdy Bek, któremu Franciszek zapomniał włożyć obuwie, położył się na grzbiecie i nie chciał się ruszyć z miejsca, wymachując rozpaczliwie łapami w powietrzu. Powoli stopy stwardniały mu podczas podróży i zużyte pantofle zostały zarzucone.

W Pelly podczas zaprzęgania psów zrana, Dolly, dotychczas bardzo spokojna, zaczęła naraz objawiać przypadłości wścieklizny. Dała znać o swym stanie przeciągłem wyciem, w którym było tyle rozpacz i bólu, że każdy pies wzdrygnął się z przerażenia; potem rzuciła się na Beka. Ten nie widział nigdy wypadków wścieklizny; zdawał się jednak domyślać strasznej choroby, gdyż rzucił się do ucieczki w panicznym strachu.

Biegł, jak strzała, gdyż strach dodawał mu sił, lecz wściekle zwierzę pędziło wślad za nim, nie dając się zdystansować. Bek przedarł się przez las aż do brzegu wyspy, przebył zapełniony lodem kanał, dostał się na

drugą wyspę, potem na trzecią, zawrócił ku głównej rzece i w ostatniej rozpaczy chciał już rzucić się, aby ją przebyć wpław; nie oglądając się, słyszał tuż za sobą charczenie wściekłego psa. W tej chwili doleciało oddalone wołanie Franciszka, i Bek pobiegł ku niemu, ciężko dysząc i czując brak powietrza ze zmęczenia, lecz pełny ufności w swym panu. Ten trzymał w ręku siekiere, i gdy Bek jak błyskawica przebiegł koło niego, ścigający go pies padł z rozplataną czaszką. Zataczając się, Bek stanął przy sankach, zadyszany, bezsilny. Z tej chwili skorzystał Szpic, aby skoczyć na niego; dwa razy jego zęby zanurzyły się w ciele bezbronnego przeciwnika, rozdzierając je do kości. Lecz bicz Franciszka dosięgnął natychmiast zdrajcę, i Bek miał za-dowolenie widzieć, jak ten otrzymał najsurowszą karę.

— Ten Szpic jest wcielonym dyablem, rzekł Per-rault; dojdzie do tego, że on kiedy zagryzie Beka, jeśli tylko się nie będzie uważać.

— Jeśli Szpic wart dyabła, to Bek wart dwóch — odparł Franciszek; zobaczysz, że pewnego pięknego dnia on połknie całego Szpica.

Istotnie, od tej chwili rozpoczęła się otwarta wojna między psami. Szpic, jako przodownik zaprzęgu i uznany zwierzchnik innych psów, czuł, że jego władza maleje wobec tego zwierzęcia, tak różnego od licznych psów Południa, które zdarzało mu się spotykać. W przeciwieństwie do tych delikatnych, wychuchanych zwierząt, Bek znosił wszystkie niedostatki bez widomej uciążliwości; współzawodniczył w dzikości i przebiegłości nawet z psami krajowymi. Kryjąc subtelny umysł pod zewnętrzną maską dzikiej siły, umiał wyczekiwać swej chwili z cierpliwością, godną czasów pierwotnych.

Bek pragnął pożądliwie starcia ze względu na dominujące stanowisko Szpica, którego nie mógł znosić, gdyż miał w swej naturze chęć władzy; prócz tego został porwany tą niezrozumiałą namiętnością psów zaprzęgowych, która zmusza je do ciągnięcia do ostatniego tchu, pozwala z radością umierać w zaprzęgu i rozsadza im serce, gdy są oderwane od tego życia. Była to namiętność Dave'a i Sol-leck'a, która nakazy-

wała im ciągnąć z całych sił; namiętność, która opanowywała ich zrana, przy zwijaniu obozu i przeobrażała ich z posępnych, beznamiętnych bydłał w gorliwe, żwawe i szlachetne istoty. Była to ta sama namiętność, dzięki której Szpic karał surowo każdy błąd w pracy i tresował sumiennie nowicyuszów, lecz która równocześnie czyniła go skłonny do przeczucia i zwalczania wszelką przewagę, zdolną stworzyć mu rywala.

Bek począł w bezczelny sposób podkopywać władzę Szpica, stając pomiędzy nim a psami, które ten chciał karać. Pewnej nocy spadł gruby opad śniegu i na rano nie znaleziono Pike'a: został on skulony w swej norze pod białą kołdrą śniegu. Franciszek długo wołał go i szukał napróżno. Szpic był wściekły. Sapiąc i grzebiąc w śniegu, biegał szybko wkoło obozu i warczał tak żaźarcie, że winowajca musiał drżeć ze strachu w swej kryjówce.

Gdy odkopano go wkońcu i gdy Szpic rozjątrzony rzucił się na niego, chcąc go ukarać, Bek, równie wściekły, skoczył pomiędzy nich. Było to tak nieoczekiwane i wykonane tak zręcznie, że Szpic, zdumiony, cofnął się w tył. Pike, dotąd trzęsący się ze strachu, odzyskał odwagę i uderzył na swego powalonego zwierchnika, a Bek, zapominając o wszelkiej lojalności, natarł też, pragnąc go dobić. Lecz wtedy Franciszek, obrońca sprawiedliwości, wkroczył ze swym biczem. Musiał użyć rękoności, aby zmusić go do odstąpienia od obalonego wroga. Ogłuszony uderzeniem, Bek porzucił swego przeciwnika i został obity bez liłości, podczas gdy Szpic ze swej strony potężnie ukarał Pike'a.

Podczas ostatnich dni podróży do Dawson, Bek nie przedstawiał wkraczać między Szpica i winnych, lecz mając się zawsze na ostrożności, czynił to w tajemnicy przed Franciszkiem.

Ten tajemny bunt zachęcał inne psy do oporu i wywołał ogólną niekarność, której unikali tylko Dave i Sol-leck; powstały bezustanne zatargi i bójki; Franciszek, który oddawna już niepokoił się o ten antagonyzm psów i wiedział, że musi on wybuchnąć wcze-

śniej czy później, musiał nieraz zrywać się wśród nocy na odgłos bójki i porzucać swe futrzane okrycia, aby rozbroić walczące psy. Jednak aż do Dawson Bek i Szpic nie mieli sposobności rozwiązania swej kłótni w decydującej walce. W Dawson znaleźli mnóstwo ludzi i niezliczoną ilość psów, które, jak zwykle, pracowały usilnie. Przez całe dni niezmordowane ich szeregi przeciągały przez główną ulicę miasta, a w nocy długo jeszcze dzwęczały ich dzwonki. Wozity one ładunki drzewa budulcowego i drzewa na opał, transportowały produkty kopalń, jednym słowem, wykonywały wszystkie roboty, do których używano koni w dolinie Santa-Clara. Bek spotykał od czasu do czasu psy z Południa, lecz głównie były tu mieszańce wilków lub psy krajowe. Co noc, o dziewiątej, o dwunastej i o trzeciej nad ranem rozlegały się ich nocne koncerty, dziwne i fantastyczne, do których Bek radośnie się przyłączał. Gdy zorza północna jaśniała swym chłodnym, spokojnym blaskiem, gdy gwiazdy iskrzyły się mroźnie, a ziemia spoczywała w sztywnem odrętwieniu pod białym całunem śniegu, ten smętny, żaloszny śpiew, jakby modulowany w tonacyi minorowej, wywierał dziwny, potężny wpływ, wywoływał obrazy i odgłosy zamierzchłej przeszłości. Była to odwieczna skarga życia, jego okropności i tajemnic, jego wiekuistych bólów porodowych i śmiertelnej trwogi; płacz, stary jak świat, kwilenie świata w jego kolebce.

Bek, łącząc swój głos do tej skargi, biorąc braterski udział w wyciu tych nawpół dzikich zwierząt, przebywał przepaść wieków, które go dzieliły od pierwotnych czasów jego rodu i duch pradziadów wstępował w jego piersi.

W siedm dni po przybyciu do Dawson, karawana spuszczała się po stromych pochyłościach Barraks na brzegi Yukon'u, aby stąd wyruszyć w kierunku Dyea i Salt-Water. Perrault wioził listy jeszcze ważniejsze, niż pierwszym razem; był on opanowany gorączką pośpiechu, tem więcej, że pragnął zdobyć w tym roku rekord podróży. Wiele okoliczności sprzyjało temu — ładunek był lekki, tydzień wypoczynku doprowadził

psy do dawnych sił, droga była utarta przez licznych podróżnych, a ponadto policja urządziła dwa, czy trzy magazyny żywności dla ludzi i psów. W pierwszy dzień zaraz podróżni stanęli w Sixty Mile, a więc zrobili sześćdziesiąt mil, zaś na drugi dzień minęli Yukon w kierunku Pelly. Lecz droga ta nie obeszła się bez kłopotów i utrapień dla Franciszka. Bunt, podżegany zdradliwie przez Beka, obalił w zaprzęgu duch solidarności i psy nie ciągnęły już, jak jeden. Potajemnie zachęcane do nieposłuszeństwa, pozwalały sobie teraz na wszelkie możliwe wykroczenia. Szpic przestał być bezspornym dowódcą, przestał budzić szacunek i władza jego została zachwiana.

Pike skradł mu pewnego wieczora pół ryby i zjadł ją pod opiekuńczem okiem Beka. Innego wieczora Dub i Joe pobili się ze Szpicem i dali mu łupnia, który na dobrą sprawę należał się im samym; spokojny Billee stawał się prawie napastnikiem, a nawet Bek nie okazywał należytej wspaniałomyślności. Korzystając ze swej siły, napadał otwarcie na wroga, przed którym niedawno drżał i nabrał nawet trochę zawadyackiego charakteru.

Rozluźnienie dyscypliny wpływało też na wzajemne stosunki między psami. Nastąpiły bezustanne spory i kłótnie. Tylko Dave i Solleck nie zmienili się wcale, stawiając przeciwwagę tym wiecznym bójkom. Próżno Franciszek kłął, jak opętany, swoim dziwacznym żargonem, próżno tupał nogami i wyrывał sobie włosy z wściekłości, próżno bat jego świstał co chwila w pośrodku psów: gdy tylko odwracał się, nieład rozpoczynał się znów. Franciszek podtrzymywał władzę Szpica, lecz Bek siłą swych zębów popierał resztę zaprzęgu. Franciszek odgadywał, kto był przyczyną tego nieporządku i Bek wiedział, że jest podejrzanym, lecz był zbyt zręcznym, aby dać się złapać na gorącym uczynku. Pracował sumiennie, gdyż praca w zaprzęgu stała się dla niego nieomal drogą, lecz większe jeszcze zadowolenie czuł z podburzania swych towarzyszy i szerzenia nieporządku.

Przy ujściu Takheeny Dub pewnego wieczora po

kolacyi spłoszył królika, lecz ten zdołał umknąć. Natychmiast cała sfora psów rzuciła się w pogoń. O sto metrów od obozowiska przyłączyła się do nich gromadka dzikich psów krajowych. Królik skierował się ku rzece i znalazłszy się na powierzchni małego strumyka, zawrócił szybko w górę. Biegł lekko po obmarzłej powierzchni śniegu, podczas gdy nogi psów zagłębiały się co chwila. Wspaniała postać Beka mknęła na czele pościgu przy bladym blasku księżyca, lecz ulotne, jak widmo śnieżnej pustyni, białe zwierzątko widniało zawsze przed nim w niezmnijającej się odległości.

Te same odwieczne instynkta, które w pewnych okresach czasu ciągną ludzi do lasów i pól, które wypełniają ich żądzą zadawania śmierci dzikim zwierzętom za pomocą ołowianych kul, te instynkta drgały w Beku, lecz o ileż silniej! Ścigać dzikie zwierzę, zamordować je własnymi zębami i zanurzyć pysk po same oczy w świeżej, cieplej krwi, była to dla niego najwyższa rozkosz, była to kwintesencya życia. Na czele gromady półdzikich zwierząt, z wyciem bojowym wilka, dobywajacem mu się z piersi, Bek mknął, jak strzała, wyętzając wszystkie swe siły w pościgu za białem widmem, które widniało wciąż przed nim w blasku księżyca.

Lecz Szpic, który umiał działać z wyrachowaniem nawet w chwili najwyższego uniesienia, odłączył się od gromady psów i w miejscu, gdzie strumień zakreślał długi łuk, przebiegł szybko wystającą odnogę gruntu. Bek nie spostrzegł tego manewru i gdy był już o kilka metrów od królika, ujrzał naraz przed sobą jakąś inną białą postać, która jednym skokiem spadła z pochyłego brzegu, gotując się porwać mu zdobycz. Królik nie miał już gdzie uciekać; za chwilę ostre zęby Szpica zmiażdżyły mu grzbiet i rozległ się przeraźliwy krzyk, podobny do ludzkiego. Zgraja psów, biegnąca za Bekiem, zawyla z radości, słysząc ten sygnał śmierci.

Jeden tylko Bek milczał i nie zmniejszając pędu, natarł ramię o ramię na Szpica z taką siłą, że oba

psy potoczyły się na śnieg. Szpic, podniósłszy się odrazu na nogi, szybkim ruchem rozplątał Bekowi ramię i odskoczył w bok. Dwa razy jego potężne kły zaryły się w ciele przeciwnika, jak stalowe ostrza myśliwskiej pułapki; dwa razy cofnął się wtył dla nabrania rozpędu i wychudły pysk rozchylił mu się złowrogo: chwila decydująca nadeszła!

Podczas gdy dwaj śmiertelni wrogowie kręcili się wkoło siebie ze skulonemi uszami, szukając miejsca dla zatopienia swych pożądliwych zębów, Bek miał jakby wspomnienie podobnej sceny, już kiedyś przeżytej. Poznawał wszystkie jej szczegóły: ziemia i las, okryte białą szatą śniegu, światło księżyca, nawet sama walka wydawała mu się skądś znaną. Fantastyczna cisza okrywała to blade pustkowię. Nic nie poruszało się dokoła: tylko oddechy psów, które otaczały niemem kołem walczących, poruszały senne powietrze i oczy ich połyskiwały groźnie. Szpic był doświadczonym przeciwnikiem. Nie było psiej rasy od Szpicberga do Kanady, którejby nie poznał w walce i nie pokonał. Nie dawał się nigdy porwać ślepemu uniesieniu; dysząc wściekłą żądzą kąsania i rozrywania, nie zapominał nigdy, że jego przeciwnik dąży do tego samego celu.

Nigdy nie rzucił się pierwszy i nie atakował wprzód, nim się obronił. Napróżno Bek usiłował go dosięgnąć zębami; każdy raz, gdy miał już zatopić kły w karku wroga, napotykał nagle jego rozwartą paszczę. Zęby psów zgrzytały co chwila i na wargach ukazała im się krew, lecz wszystkie wysiłki Beka były bezowocne. Porwany bojowym zapalem, otoczył wroga całą nawałnicą ataków; Szpic odbijał każdy z nich jednym szybkim ruchem i odskakiwał nieco opodal. Wtedy Bek udął, że chce wykonać skok i odwróciwszy nagle łeb, uderzył przeciwnika z całej siły ramieniem; manewr ten Bek przypłacił nową głęboką raną, podczas gdy Szpic odskoczył lekko w bok. Nie odniósł on dotychczas żadnej rany, Bek zaś ociekał krwią i ciężko oddychał. Walka zbliżała się do rozwiązania.

Krąg psów-wilków oczekiwał tylko końca, aby do-

bić pokonanego. Widząc, że Bek już oddycha z trudnością, Szpic rozpoczął walkę zaczepną, atakując go raz po raz i doprowadził swego przeciwnika do wyczerpania sił. Raz nawet Bek upadł i wszystkie sześćdziesiąt psów podniosły się złowrogo; lecz, szybki, jak błyskawica, zerwał się groźnie na nogi i zgłodniała zgraja musiała czekać końca. Bek posiadał imaginację, co stanowi zaletę, zdolną podwajać siły. Przez cały czas walki mózg jego pracował usilnie. Wreszcie wpadł na genialny pomysł. Skoczył, jakby pragnąc uderzyć wroga ramieniem, i w ostatniej chwili schylił się szybko, dotykając prawie ziemi i zamknął w swych żelaznych szczękach prawą łapę Szpica: rozległ się trzask miażdżonej kości; jednak, opanowując ból, biały pies zdołał odbić kilka ataków Beka. Ten powtórzył po chwili swój manewr, druzgocąc mu drugą przednią łapę. Obezwładniony w ten sposób, Szpic usiłował walczyć z bólem i utrzymywać się jeszcze na nogach. Widział, jak milczący krąg psów z błyszczącymi oczyma, z wywieszonymi językami, zaciskał się zwolna wkoło niego, tak, jak nieraz zaciskał się wkoło jego ofiar. Czuł, że dziś czeka go nieuchronna zguba, gdyż nie mógł spodziewać się od Beka najmniejszej litości.

Decydująca chwila się zbliżała; pierścień psów-wilków zamknął się do tego stopnia, że ciepły ich oddech owiewał walczących. Bek widział ich straszne postaci za Szpicem i wkoło siebie, widział ich oczy utkwione w swym przeciwniku, upatrujące z natężeniem chwili do skoku. Nastąpiła krótka przerwa; wszystko zamarło i zamilkło na chwilę, tylko Szpic, drżąc i chwiejąc się, wył jakby chcąc oddalić nadchodzącą śmierć. Naraz Bek wykonał skok i odrzucił się szybko w bok, lecz tym ruchem zdążył obalić ramieniem przeciwnika. Skupiony pierścień zamienił się w jedną ciemną plamę na śniegu, osrebrzonym blaskiem księżycowym, i Szpic znikł zupełnie, zalany zgłodniałą masą, podczas gdy Bek, stojąc, ozierał z zadowoleniem swe dzieło, jak zwierzę pierwotne, które po zadaniu śmierci, rozkoszuje się krwawym widokiem,

IV.

BEK OBEJMUJE KIEROWNICTWO ZAPRZĘGU.

— No co! czy nie miałem racyi? Nie mówiłem, że Bek wart dwóch dyabłów? —

Tak mówił Franciszek następnego poranka, gdy zauważywszy zniknięcie Szpica, doprowadził Beka do ognia, aby mu policzyć rany.

— Ten Szpic walczył, jak demon — rzekł Perrault, oglądając liczne ziejące dziury w skórze psa.

— A Bek jak całe piekło — odparł Franciszek. — Teraz już pojedziemy porządnie. Niema Szpica, niema mitregi!

Podczas gdy Perrault pakował ruchomości obozu i ładował je na sanki, Franciszek zajął się zaprzęgiem psów. Bek stanął na miejsce, zajmowane dotychczas przez Szpica, jako kierownika zaprzęgu, lecz Franciszek, nie zwracając na niego uwagi, umieścił na tem szaczącym stanowisku Sol-leck'a, którego uważał za zdolniejszego do pełnienia obowiązków kierownika; Bek rzucił się jak wściekły na Sol-lecka, odpędził go i stanął na jego miejscu.

— He, he! — zaśmiał się Franciszek, klepiąc się wesoło po udach. — Popatrzcie-no na tego Beka. Zabił Szpica i teraz zachciało mu się być kierownikiem.

— Pójdziesz! Wynos się! — zawołał.

Lecz Bek ani się ruszył. Franciszek złapał go za skórę na karku i nie zważając na groźne mruczenie,

odrzuć go w bok, Sol-leck'a zaś umieścić na nowo w zaprzęgu. Nie pociągało to wcale starego psa, przestraszonego groźnem zachowaniem się Beka. Franciszek uparł się przy swoim, lecz gdy tylko odwrócił się, Bek odpędził znów Sol-lecka, który nie myślał wcale stawiać mu oporu.

Franciszek wpadł w gniew.

— Czekał-no, ja ci pokażę! — zawołał, powracając uzbrojony w ciężki kij.

Bek, przypominając sobie człowieka w czerwonej koszulce, cofnął się niechętnie, podczas gdy Sol-leck został po raz trzeci ułokowany na miejscu honorowem; warcząc z wściekłości, Bek począł uwijać się wkoło sanek, w odległości, nie pozwalającej dosięgnąć go kijem, i bacząc, by Franciszek nie rzucił się na niego. Gdy Sol-leck został zaprzężony, Franciszek zawołał Beka, pragnąc umieścić go na dawnym miejscu, przed Davem; Bek cofnął się o dwa czy trzy kroki; Franciszek chciał się zbliżyć, lecz pies cofnął się jeszcze. Po kilku minutach tego pościgu, Franciszek odrzucił kij, sądząc, że pies obawia się bicia. Lecz Bek najwyraźniej zbuntował się. Nie chodziło mu już o uniknięcie kary, lecz o kierownictwo, które uważał za zasłużone i słusznie mu przynależne.

Perrault przyszedł na pomoc; w przeciągu blisko godziny obaj z Franciszkiem uganiłi się za psem, rzucając w niego kijami, przed którymi zręcznie się wywijał. Padały na niego przekleństwa, równie jak na jego ojca, matkę i wszystkie pokolenia, które miały po nim istnieć aż do skończenia świata; Bek odpowiadał na przekleństwa warczeniem i uciekał wciąż. Nie próbując wcale zbiedz, cofał się wkoło obozowiska, pragnąc pokazać, że nie ma zamiaru umknąć i że będzie zachowywał się lojalnie, gdy tylko jego pragnienie zostanie zadowolone.

Franciszek usiadł i zaczął drapać się po głowie; Perrault popatrzył na zegarek i wybuchnął przekleństwami: czas upływał, cała godzina została już zmarnowana. Franciszek drapał się coraz niecierpliwiej, wreszcie potrząsnął głową i zaśmiał się z pewnym odcie-

niem zakłopotania, patrząc na Perraulta, który wzruszył ramionami na znak strapienia. Franciszek zbliżył się do Sol-lecka, nie przestając nawoływać zbuntowanego psa; ten uśmiechnął się tak, jak umieją się śmiać psy, lecz pozostał w odległości. Franciszek odprzegnął Sol-lecka i postawił go na zwykłe miejsce. Zaprząg, gotowy do wyruszenia, przedstawiał teraz kompletny szereg, któremu brak było tylko kierownika. Raz jeszcze Franciszek zawołał Beka, lecz ten i tym razem zrobił przyjemną minę, nie ruszając się z miejsca.

— Rzuć kij — doradził Perrault.

Gdy Franciszek to wykonał, Bek przybiegł do niego, rozradowany i dumny, i sam zajął miejsce na czele zaprzęgu. Przypięto rzemienie i sanki ruszyły żwawo, kierując się ku zamarzłej rzece. Pod koniec dnia Bek dowiódł, że był godny stanowiska, które tak zaszczytnie pozyskał.

Odrązu zdobył władzę nad resztą zaprzęgu, a w okolicznościach, wymagających oryentacji, wykazał taką szybkość decyzji i czynu, że pod tym względem przeszedł nawet Szpica, którego Franciszek uważał za nie-zrównanego kierownika.

Bek umiał znakomicie nakazywać poszanowanie dla prawa i podtrzymywać je wśród swych towarzyszków. Zmiana kierownika nie mieszała wcale Dave'a lub Sol-leck'a; jedyną ich myślą było ciągnąć ze wszystkich sił, i jeśli tylko nic im nie przeszkadzało w tem, nie mieli żadnego powodu do niezadowolenia. Łagodny Billee mógł łatwo zrozumieć, że Bek został uznany za kierownika, skoro utrzymywał porządek wśród zaprzęgu. Lecz inne psy, rozpuszczone za ostatnich dni Szpica, były zdumione do najwyższego stopnia, gdy Bek począł okazywać względem nich swą władzę. Pike, który był w zaprzęgu zaraz za Bkiem i który nigdy nie zadawał sobie trudu ciągnąć o jeden stopień więcej, niż było potrzeba, został tak potężnie oćwiczony za swój brak gorliwości, że zaraz pierwszego dnia ciągnął tak, jak nigdy w życiu. Mrukliwy Joe, który próbował wyłamać się z pod posłuszeństwa, został nau-

czony tego samego dnia, jak należy szanować swego zwierznika.

Taktyka Beka była prosta i skuteczna. Dzięki swej olbrzymiej sile, obalał zawsze niesfornego psa i kasał go tak, że ten piszcząc, błagał o litość. Duch zaprzęgu podniósł się wkrótce; zapanował w nim wzorowy ład i psy ciągnęły znów, jak jeden. Koło bystrzyn Rinks do zaprzęgu zostały dołączone dwa psy krajowe, Teek i Kooną, i szybkość, z jaką Bek je poskromił, wprawiła Franciszka w zdumienie.

— Nie było nigdy na świecie takiego psa, jak Bek. Nie, nigdy! On wart tysiąc dolarów, jak jeden cent! Nie prawda, Perrault?

I Perrault się zgadzał. Zyskał on nietylko stracony czas, lecz z każdym dniem zdobywał przewagę nad poprzednią podróżą. Droga była znakomita, utarta i twarda; nie padał śnieg, który tak utrudnia podróż w podobnych warunkach. Mróz nie był zbyt dotkliwy: termometr trzymał się stale na pięćdziesiątym stopniu poniżej zera. Franciszek z Perraultem na zmianę siadali na sanki lub biegli obok sanek i psy ciągnęły bez wytchnienia, nie zatrzymując się co chwila, jak dawniej.

Rzeka Thirty-Mile była prawie zupełnie zamarzła, dzięki czemu dokonano w jeden dzień przeprawy, która poprzednio zabrała dziesięć dni. Jednym kursem podróży przebyli sześćdziesięciomilową odległość od jeziora Barge do bystrzyn White-Herse; w okolicy Marsh, Tagish i Bennet, psy pobiegły z taką karkołomną szybkością, że jeden z ludzi, na którego wypadła kolej iść pieszo, musiał przywiązać się długim sznurem do tyłu sanek. Pod koniec drugiego tygodnia podróży dosięgnięto gór White-Pass i podróżni spuszczały się z pochyłości ku morzu, gdzie połyskiwały światła portu Skagway i widniały stojące w przystani statki. Podczas tych czterdziestu dni najmniejszy kurs dzienny wynosił czterdzieści mil! Perrault i Franciszek paradowali przez trzy dni po ulicach Skagway, otoczeni powszechną admiracją i zapraszani na wódkę, podczas gdy zaprzęg otaczała gromadka gapiów. Potem kilku

rabusiów z zachodnich okolic kraju przyłapano na kradzieży i rozstrzelano bez litości i zainteresowanie ludności odwróciło się w innym kierunku. Wkrótce przyszły jakieś urzędowe rozkazy; Franciszek przywołał Beka i objął go rękami, płacząc; było to ostatnie ich pożegnanie, poczem Franciszek i Perrault, jak wielu innych, zniknęli nazawsze z przed jego oczu.

Bek i jego towarzysze zostali powierzeni metysowi szkockiego pochodzenia i w towarzystwie kilkunastu innych zaprzęgów wyruszyli znów w mozolną podróż do Dawson. Nie chodziło już teraz o szalony kurs, o zdobycie rekordu, jak to było pod wodzą nieustraszonego Perraulta. Psy pełniły teraz obowiązki zaprzęgów pocztowych, przebiegając wciąż tę samą drogę, ciągnąc zawsze ten sam ciężki ładunek. Rzemiosło to nie podobało się Bekowi; jednak postawił sobie za punkt honoru, aby wykonywać je sumiennie, jak Dave lub Sol-leck i starać się by jego towarzysze, chcąc czy nie chcąc, wykonywali je z równą starannością.

Było to życie jednostajne i regularne, jak ruch maszyny. Dni były podobne jeden do drugiego. Zrana, o określonej godzinie, kucharze rozpalali ogień i gotowali śniadanie. Po śniadaniu jedni z ludzi zajmowali się zwijaniem obozu, inni zaś zaprzęgali psy, i za godzinę przed nastąpieniem półmroku, zwiastującego zorzę, karawana wyruszała w drogę. Wieczorem rozkładano obóz; jedni rozpinali namioty, inni rąbali drzewo i obcinali gałęzie sosnowe na posłania, lub nosili wodę i lód do kuchni.

Rozdawano psom pokarm, co było dla tych ostatnich najważniejszym wypadkiem w dniu; po kolacyi psy włączyły się z godzinę lub dwie po obozie, zawierając znajomości z nowymi towarzyszami, których było około stu. Pomiędzy nimi było kilku dzikich kłótników, lecz trzy zwycięstwa odniesione przez Beka nad najgroźniejszymi z nich, zapewniły mu przewagę i odtąd wszystko pierzchało, gdy olbrzymi pies jeżył sierść, pokazując swe potężne zęby.

Największą przyjemnością Beka było leżeć z wyciągniętymi łapami i z podwiniętym ogonem koło ognia,

podniósłszy głowę i mrugając oczyma pod światło. Myślał wtedy nieraz o domu sędziego Millera w słonecznej dolinie, o cementowym basenie, o Izabeli, śniesznej Meksykance bez sierści, lub o Japończyku Toots; lecz najczęściej przypominał sobie człowieka w czerwonej koszulce, śmierć Curly, swą walkę ze Szpicem i różne smaczne rzeczy, które jadł, lub które chciałby jeść. Nie tęsknił za krajem rodzinnym; Południe stało się dla niego mglistem i oddalonym. Daleko silniej odczuwał wpływ utajonych sił dziedzicznych, które opanowywały go z dniem każdym coraz więcej, budząc uczucie znajomości względem takich zjawisk, które widział po raz pierwszy w życiu, powołując właśnie do życia pierwotne instynkta, które drzemały w głębi jego istoty.

Niekiedy Bek, leżąc tak wyciągnięty koło ognia, patrząc na tańczące płomienie, nieruchomy, lecz przytomny, miał wizję, że kiedyś czuwał tak przy innym człowieku, niepodobnym zupełnie do szkockiego metysa. Człowiek ten, pokryty sierścią, z długimi włosami, wydawał niezrozumiałe dźwięki, niespokojnym okiem badając mrok. Znużenie kleiło psu oczy coraz więcej, lecz wizja nie odstępowała go; teraz czuwał nad snem tego człowieka skulonego przy ogniu, z głową zwieszoną między kolanami, chronił go przed dzikimi zwierzętami, których oczy połyskiwały w ciemności. Brutalny głos metysa rozpraszał te obrazy i Bek podnosił się i ziewał, udając, że spał.

Wożenie poczty było wycieńczającą pracą dla psów i doprowadziło je podczas podróży do Dawson do opłakanego stanu. Należało im wypocząć w mieście ze dwa tygodnie, a przynajmniej z tydzień. Lecz po dwóch dniach karawana, obarczona nową pocztą, zjeżdżała z powrotem z pochyłości Yukon'u.

Psy były zmęczone, woźnice zrzedni i na domiar złego przez cały czas padał śnieg, który czynił drogę ciężką i bardziej śliską i jeszcze więcej nużył psy, pomimo troskliwości, której nie szczędzili im ludzie. Co wieczór wycierano zwierzęta, dawano im jeść przed ludźmi i żaden woźnica nie położył się spać, dopokąd

nie zbadał i nie opatrzył łap swym psom; lecz wszystkie te ostrożności nie mogły zapobiedz upadkowi ich sił.

Od początku zimy, ciągnąc przez cały czas ciężkie sanki, zrobiły one przeszło tysiąc ośmset mil drogi i ta wyczerpująca praca nie mogła pozostać dla nich bez fatalnych skutków. Bek, nie zważając na zmęczenie, trzymał się dość odpornie i utrzymywał porządek wśród swych wycieńczonych towarzyszy; Billee stękał i piszczał we śnie po całych nocach; Joe był jeszcze mrukliwszy, niż zwykle, a Sol-leck nie dawał już podejść do siebie z żadnej strony. Dave cierpiał najwięcej ze wszystkich, dotknięty wewnętrzną chorobą, która czyniła go zgryźliwym i rozdrażnionym. Gdy tylko rozłożono obóz, spieszył wykopać sobie dół w śniegu i woźnica zmuszony był zanosić mu tam posiłek. Wypreżony wieczorem, nie poruszał się już do rana, kiedy wypadało stanąć znów w zaprzęgu. Ból wyrывał mu z piersi rozpaczliwe jęki, gdy w zaprzęgu doznawał targnięcia wskutek nagłego zatrzymania się lub gdy musiał wysilić się przy ruszaniu z miejsca. Woźnica badał go, nie mogąc odnaleźć przyczyny choroby; wkrótce wszyscy inni ludzie zainteresowali się jego stanem. Rozmawiali o nim podczas obiadów, gwarzyli wieczorami, paląc ostatnie fajki i wkońcu odbyli osobną naradę w tej sprawie. Dave'a przyprowadzono do ognia i poczęto obmacywać i uciskać, aż pies skowyczał z bólu. Nie znaleziono nic złamanego, lecz przypuszczano, że biedne zwierzę trawi jakąś wewnętrzną chorobą, której nie można było wykryć. Gdy karawana przybyła do Cassiar-Bar, nieszczęśliwy pies był tak osłabiony, że kilka razy upadł w zaprzęgu. Metys zatrzymał sanki, odprzegnął go i na jego miejsce umieścił Sol-leck'a, pragnąc, aby Dave wypoczął, biegnąc luzem po utartej drodze. Lecz ten, pomimo swego osłabienia, nie mógł znieść usunięcia go z zaprzęgu; warczał, gdy go odprzegano i począł wyć boleśnie, gdy ujrzał Sol-leck'a na miejscu, które sam piastował z honorem przez tyle czasu. Namiętność do zaprzęgu i podróży była w nim tak silna, że ledwie

włóczęc nogami, nie dawał innemu psu zająć swego stanowiska.

Gdy sanki ruszyły, Dave pobiegł, utykając w śniegu, nagromadzonym z boku drogi; próbował ugryźć Sol-leck'a, rzucał się na niego, chcąc go obalić i robił wysiłki, aby wcisnąć się na miejsce w tyle zaprzęgu, komląc z bólu i smutku. Metys próbował odpędzić go batem, lecz pies był nieczuły na uderzenia, a człowiek nie miał serca bić go silniej. Dave nie chciał biedz za sankami, po równej drodze, lecz trzymał się z boku, grzęznąc w miękkim śniegu i wkrótce poczał słabnąć. Wreszcie upadł i pozostał na miejscu, patrząc z rozpaczliwem wyciem, jak długi szereg sanek przesuwał się, pozostawiając go w tyle.

Ostatnim wysiłkiem zdołał jednak podnieść się i wlec pewien czas za sankami, póki nie urządzono krótkiego przystanku, który pozwolił mu zrównać się znów z Sol-leck'iem. Woźnica jego, który zatrzymał się tylko na chwilę, aby zapalić sobie fajkę od jednego z kolegów, chciał jechać dalej. Psy ruszyły z miejsca ze zdumiewającą łatwością i po chwili stanęły, ogłędając się ze zdziwieniem. Woźnica był także zdziwiony: sanki nie ruszyły się z miejsca.

Przywołał innych ludzi, pokazując im rzemienie uprząży Sol-lecka, które Dave za krótki czas przystanku zdążył przegryźć; pies stał przed sankami na swem zwykłym miejscu i patrzył błagalnym wzrokiem na woźnicę, jakby prosząc go, aby mu pozwolił tu zostać. Metys był w kłopotcie: otaczający go woźnice powtarzali, że niema w tem nic dziwnego, że pies wpada w rozpacz, gdy się go oddala od pracy, w której sterał swe siły; każdy przytaczał przykłady psów zranionych lub starych, które nie mogły już ciągnąć, a jednak nie mogły znieść rozłączenia z zaprzęgiem; dodawano przytem, że litość nakazuje pozwolić psu, niezawodnie bliskiemu śmierci, aby skończył swe życie w zaprzęgu.

Dave został więc znów zaprzężony i wysilał się, aby ciągnąć tak, jak dawniej, lecz ból wewnętrzny wyrywał mu co chwila mimowolne jęki; kilka razy upadł

i zatrzymany przez uprząż, dostał się pod sanki, skutkiem czego zaczął kuleć. Lecz do samego wieczora trzymał się dzielnie i po rozłożeniu obozu woźnica urządził mu posłanie przy ogniu. Nazajutrz zrana Dave był już tak słaby, że nie mógł chodzić. Kiedy zaczęto zaprzęgać psy, podniósł się konwulsyjnym wysiłkiem na nogi, zawahał się i upadł; miał sparaliżowaną całą tylną część ciała. Pełzając, próbował jeszcze połączyć się ze swymi towarzyszami i włókł się za nimi przez parę metrów, lecz wkońcu siły opuściły go zupełnie; ostatni raz towarzysze widzieli go wyciągniętego na śniegu, ciężko oddychającego i usiłującego jeszcze się podnieść; gdy drzewa nadbrzeżne skryły go wreszcie z przed ich oczu, rozległo się smutne, przeciągłe wycie.

Karawana stanęła. Metys zlaźł z sanek i wolno poszedł w kierunku opuszczonego obozowiska. Ludzie przestali na chwilę rozmawiać. Rozległ się strzał rewolwerowy. Po chwili woźnica wrócił szybkimi krokami. Zatrząskaly bicze, zadźwięczały wesoło dzwonki, i sanie ruszyły po ubitym śniegu; lecz Bek i inne psy wiedziały dobrze, co zaszło za drzewami nad rzeką.



...Rozległ się strzał rewolwerowy.

V.

TRUDY JARZMA I PODRÓŻY.

W trzydzieści dni po wyruszeniu z Dawson karawana pocztowa z Salt-Water wkraczała do Skagway. Psy były w opłakanym stanie, chodziły, powłócząc nogami i prawie wszystkie cierpiały na ochwat łap. Bek stracił trzydzieści pięć funtów wagi, zaś jego towarzysze ponieśli jeszcze dotkliwsze straty. Mrukliwy Pike, który tak często w swem życiu udawał, że jest skaleczony w nogę, tym razem był okaleczony naprawdę; Sol-leck kulał, a Dub miał zwichniętą łopatkę; wszystkie psy straciły wszelką energię, wszelką sprężystość i zbolełe ich łapy ciężko pogrążały się w śniegu. Nie było to chwilowe osłabienie, spowodowane przez krótki, wyczerpujący wysiłek, które znika po kilku godzinach wypoczynku, lecz kompletne wyniszczenie, pochodzące z nadmiernej i zbyt przedłużonej pracy.

W ciągu niecałych pięciu miesięcy zaprząg przebył tysiąc dwieście kilometrów i w ostatnich trzystu siedmdziesięciu kilometrach miał tylko pięć dni odpoczynku. Przy wjeździe do Skagway psy z wysiłkiem ciągnęły ciężkie sanki i zaledwie były w stanie unikać uderzeń przy zjeżdżaniu z pochyłości.

— Cierpliwości, moje wy biedaki! — mówił woźnica, aby je zachęcać. — To już koniec. Teraz wypoczniecie sobie, jak się należy.

Ludzie sami zasłużyli też sobie na wypoczynek, gdyż za czas całej tej podróży tysiąca dwustu kilome-

trów mieli zaledwie dwa dni przystanku. Lecz wędrówka do Klondyki była tak znaczna, że listy, adresowane do poszukiwaczy złota, tworzyły całe góry, rząd zaś nie dopuszczał najmniejszej zwłoki: należało być zawsze na czas i wycieńczone partye psów zastępowano świeżemi z zatoki Hudsona.

W trzy dni po przybyciu do Skagway Bek i jego towarzysze nie zaczęli nawet przychodzić do sił po wyczerpaniu poprzednimi trudami. Zrana czwartego dnia dwaj obywatele Stanów Zjednoczonych, noszący imiona Hal i Charles, zgłosili się w celu obejrzenia zaprzęgu i nabyli go za pół darmo razem z uprzężą.

Charles był to człowiek w średnim wieku, blondyn, z niepewnym, łzawym wzrokiem i miękkimi, zdradzającymi brak charakteru ustami, ozdobionemi wąsem, zuchwale zaczesanym do góry. Hal był chłopcem w wieku dziewiętnastu lub dwudziestu lat; widziano go zawsze uzbrojonego w rewolwer Kolta, z myśliwskim nożem za pasem, obładowanym nabojami.

W jaki sposób znaleźli się na Północy ci dwaj ludzie, tak rażąco tu obcy, było niezrozumiałą tajemnicą. Bek, widząc, jak płacili pieniądze funkcyonariuszowi rządu, odgadł odrazu, że Metys szkocki i jego kole-dzy mieli zniknąć na zawsze z jego życia, podobnie, jak Perrault, Franciszek i tylu innych. Zaprowadzono go wraz z innemi psami do ich nowych właścicieli, gdzie Bek ujrzał nieporządnie utrzymany obóz, w którym gospodarowała krzątająca się przed namiotem, zaledwie przyczepionym do ziemi, młoda kobieta z rozczochnierzi włosami, która była siostrą Hala i małżonką Charles'a i nosiła imię Mercedes.

Bek patrzył z trwogą, jak nowi jego panowie ładowali na sanki swe ruchomości. Wszyscy troje zadawali sobie wiele pracy, lecz zabrali się do rzeczy bez najmniejszego pojęcia. Namiot został zwinięty w niezgrabny, zawadzający pakunek; cynowe talerze, rozrzucone w nieładzie na ziemi, zostały spakowane niedbale, przyczem nie zadano sobie nawet trudu umyć je. Mercedes krępowała ruchy mężczyzn, nie szczczędając im rad i wskazówek. Żaden pakunek nie był ulokowany ku

jej zadowoleniu, i co chwila musiano rozwiązywać worki, aby włożyć do nich jakiś zapomniany przedmiot.

Trzej ludzie, którzy wyszli z sąsiedniego namiotu, patrzyli na nich, śmiejąc się szyderczo.

— Macie już dość ciężki ładunek, rzekł jeden z nich; nie jestem wprawdzie powołany do udzielania wam rad, lecz będąc na waszem miejscu, nie obciążałbym się tym namiotem.

— Co? zawołała urażona Mercedes. Odebrać mi namiot? Gdzie bym spała w takim razie?

— Jest wiosna, mrozy się już skończyły, odparł ów człowiek.

Lecz młoda kobieta odrzuciła z oburzeniem myśl spania pod gołym niebem.

Charles i Hal kończyli tymczasem ładowanie pakunków, które tworzyły istną górę

— Sądziecie, że psy to uciągną? spytał jeden z widzów.

— Dlaczego nie? odparł Charles sucho.

— Ależ owszem, owszem — odrzekł pospiesznie tamten; ja tylko wątpiłem o tem, nic więcej, bo ten ładunek wydaje mi się dyabelnie ciężki.

Lecz Charles odwrócił się i począł przypinać, jak umiał, rzemienie uprzęży.

— Psy pójdą jak nic przez cały dzień z tym katafalkiem, dodał drugi z obecnych z sarkastycznym uśmiechem.

— Nie ulega wątpliwości, odparł chłodno Hal.

I oparłszy jedną rękę o sanie, w drugą zaś ująwszy bicz począł wołać:

— Jazda! Nuże! Naprzód!

Psy ruszyły, ciągnąc z całych sił, naciskając pierśmi na pasy, lecz po chwili stanęły bezsilnie, nie mogąc ruszyć sanek z miejsca.

— A wy leniwe bydłota! nauczę ja was ciągnąć! — zawołał Hal wściekły, trzaskając batem.

Lecz naraz wtrąciła się Mercedes i wyrwała mu bat z rąk.

— Ja nie chcę, by je bito! — zawołała z dziecinnym dąsem. — Moje biedaki! Moje drogie pieski!

Hal, musisz mi obiecać, że nie dotkniesz ich batem przez całą drogę, inaczej ja nie jadę...

— Odkąd to pani zna się na powożeniu psami? — rzekł jej brat z przekąsem. — Daj mi pokój, proszę cię. To są leniwe zwierzęta i bez bata nie można z nimi poradzić. Jest to jedyny środek, to ci każdy powie. Zapytaj lepiej tych ludzi.

Lecz Mercedes nadąsaną miną okazała wstręt, jakim ją przejmowało to brutalne postępowanie.

— Chcecie, żeby wam powiedzieć? — zapytał jeden z widzów. — Wasze psy są tak słabe, że ledwo stoją na nogach. Wszystkie są ochwacone. Potrzeba im dobrego wypoczynku.

— Do dyabła z wypoczynkiem! — odparł z gniewem Hal.

Mercedes stanęła zaraz po jego stronie.

— Niech sobie gadają — rzekła pogardliwie. — Nie zwracaj na nich uwagi. Do ciebie samego należy postępować ze swymi psami, jak ci się podoba.

Bat Hala począł znów spadać na psy; te pociągnęły ze wszystkich sił, prąc piersiami skórzane pasy uprząży i naprężając nogi z najwyższym wysiłkiem, na jaki je było jeszcze stać; lecz sanie zdawały się przygwożdżonemi do twardej ziemi.

Po wielu bezowocnych usiłowaniach, zaprząg stanął, ciężko dysząc ze zmęczenia; bat Hala świstał dalej bez litości, i Mercedes wybrała tę chwilę, aby wkroczyć znów w obronę psów: uklękła przed Bekiem i objęła go za szyję ze łzami w oczach; pies jednak wydawał się niebardzo wzruszony tą znaną pieszczotą.

— Drogi mój biedaku! zawołała z powabną rozpaczą, — i dlaczego nie chcesz ciągnąć?... Niedobre psisko!... Gdybyś tylko chciał ciągnąć, niktby cię nie bił!...

Jeden z widzów, który dotychczas zaciskał zęby, aby nie wypowiedzieć zbyt ostro swego zdania, odezwał się wówczas:

— Nie chodzi mi już wcale o to, co za skutki mogą dla was wyniknąć z takiego postępowania, lecz co do psów, to muszę wam powiedzieć, że moglibyście im znakomicie pomóc, gdybyście poruszyli sanki, gdyż

są one przymarzniete do ziemi. Pchnijcie je mocno z przodu w jedną stronę i w drugą, a wtedy lód puści.

Hal raczył tym razem posłuchać rady doświadczonego człowieka; psy pod gradem uderzeń wykonały bohaterski wysiłek, i przeładowane sanie ruszyły raptownie z miejsca.

Lecz o sto metrów dalej droga zakreślała łuk i spuszczała się stromym spadkiem w główną ulicę miasta. Aby utrzymać w równowadze taką olbrzymią masę ładunku w tem miejscu potrzeba było woźnicy bardziej doświadczonego niż Hal. Sanie wywróciły się, jak można się było spodziewać; lecz psy, podniecone razami, nie stanęły. Bek pobiegł galopem, a za nim reszta psów, ciągnąc wywrócone sanki, które, pozbawione ciężaru, podskakiwały lekko, uderzając o nierówności gruntu,

Próżno rozwścieczony Hal krzyczał ochrypłym głosem; psy nie słuchały go; wreszcie noga zaczepiła mu się o postronki uprzęży, i upadł na ziemię. Cały zapręg przeszedł mu przez ciało. Psy zaś pędziły dalej, rozrzucając ku uciesze mieszkańców Skagway resztki swego ładunku po ulicy.

Litościwi obywatele zatrzymali wreszcie rozbiegane psy i zebrali pogubione rzeczy, nie szczędząc przytem rad podróżnym. Należało zmniejszyć liczbę pakunków i powiększyć liczbę psów.

Hal, jego siostra i szwagier, słuchając niechętnie tych rad, zdecydowali się wreszcie odłożyć swój odjazd i przejrzeć swe ładunki, co wprawiło widzów w żywe zadowolenie.

--- Macie tyle kołder, że wystarczyłoby ich na urządzenie całego hotelu. Zostawcie z tego trzy czwarte części, a jeszcze będziecie mieli aż nadto... A te wszystkie talerze, które zapewne nigdy nie zostaną umyte!... Boże drogi, czy wy myślicie jechać pociągiem luksusowym?

Mercedes wybuchła płaczem, gdy zmuszona została przystąpić do sortowania swych zapasów odzieży.

Protestowała, mówiąc, że nie ruszy się ani na krok, jeśli nie pozwolą jej zabrać z sobą sukien, lecz zirytowana kpinkami widzów, skończyła ze złości na tem,

że odrzuciła rzeczy, niezbędne nietylko dla niej, lecz i dla mężczyzn.

Gdy ukończono wybór, ładunek pomimo mnóstwa pozostawionych rzeczy, stanowił jeszcze dość znaczną masę.

Charles i Hal zdecydowali się kupić sześć psów dla powiększenia zaprzęgu; w ten sposób początkowy zaprząg, do którego w Rapidach zostały dodane, jako to było mówione, dwa psy krajowe Teek i Koon, doszedł teraz do liczby czternastu psów. Lecz nowe psy, jakkolwiek ćwiczone od czasu przybycia do kraju, nie wróżyły wielkiej pociechy. Były między nimi trzy angielskie wyżły o krótkiej sierści, jeden nowofundlandczyk i dwa mieszańce o nieokreślonej rasie; wszystkie zdawały się nie mieć pojęcia o swem rzemiośle.

Bek, który patrzył z pogardą na nowych towarzyszy, nie był w stanie niczego ich nauczyć; widać było na nich zahukanie i przygnębienie, spowodowane przez złe obchodzenie się. Dwa mieszańce były pozbawione wszelkiej energii; ich wystające kości wydawały się jedynymi odpornymi częściami ich istot.

Nie można więc było spodziewać się nic dobrego od tych nowozaciecznych zwierząt, będących w stanie przedwczesnego uwiadu i dołączonych do zaprzęgu, doszczętnie wycieńczonego przebyciem tysiąca dwustu kilometrów, prawie bez wytchnienia. Lecz dwaj ludzie okazywali wielkie zadowolenie i pysznili się swymi czternastu psami.

Ho, ho! wiele sań wjeżdżało i wyjeżdżało z Dawson, lecz żadne nie miały tak licznego zaprzęgu. To się nazywa dopiero przedsięwzięcie na wielką skalę!...

Gdyby jednak mieli pojęcie, czym jest podróż w okolicach arktycznych, zrozumieliby, że sama żywność dla tylu zwierząt nie zmieści się na jedne sanki i że z tej racji należy ograniczać ich liczbę. Lecz mieli oni różne mądre kalkulacje, mające dostosować wagę powian-tów do długości podróży i byli pewni powodzenia.

Upłynęła nazajutrz spora część poranku, zanim długi zaprzęg wyruszył wreszcie w drogę.

Psy nie okazywały najmniejszej gorliwości. Bek,

widząc, że ma przebyć po raz piąty nudną drogę do Dawson, czuł, że energia w nim stygnie; nowe psy były trwożliwe i przygnębione, stare nie miały żadnego zaufania do swych panów. Istotnie, ci ostatni byli istnymi profanami w pojmowaniu swych obowiązków; w miarę tego, jak upływały dni, można było nabrać przekonania, że nauka dla nich idzie w las. Niedbali i nieporządni, nie umiejący utrzymać żadnej systematyczności, tracili pół nocy na rozłożenie obozu i to zupełnie opacznie; większa część poranku upływała im następnie na zwijaniu obozu i ładowaniu sanek, co robiono tak niewprawnie, że w drodze musiano zatrzymywać się co chwila i poprawiać pakunki i sznurki. Były dni, kiedy przebyto zaledwie dziesięć mil. Kilka razy nawet nie wyruszano wcale. Ponieważ zaś nie zdołano przebyć nawet połowę odległości, na jaką starczyła żywność, musiało jej więc zabraknąć niechybnie przed końcem podróży.

Fatalna ta chwila została jeszcze przyspieszona przez błąd Hala: widząc, że psy ujawniają brak sił, młody człowiek przypisał to niedostateczności ich porcyj i podwoił je; na domiar złego Mercedes kradła codziennie ryby z worków i dawała je potajemnie swym ulubieńcom. Nowo nabyte psy, przywykłe do chronicznego głodu, dawały mimo to dowody wielkiej żarłoczności; inne cieszyły się doskonałym apetytem, i nie upłynęło wiele dni tej gospodarki, jak począł zagrażać głód.

Hal spostrzegł się po przebyciu czwartej części drogi, że więcej niż połowa żywności znikła i ponieważ nie było żadnego sposobu zdobycia świeżych zapasów, zmniejszył raptownie porcjeienne, nagląc przytem do przedłużenia godzin jazdy.

Jego towarzysze zgadzali się na to w zasadzie. Lecz ponieważ nie chciało im się nic uczynić dla urzeczywistnienia tego projektu, pozostał więc on tylko pobożnem życzeniem. Zapewne, nie było nic łatwiejszego, jak pozbawić psy pożywienia. Lecz w jaki sposób można było posuwać się prędzej, jeśli podróżni nie mogli ani razu zdobyć się na wyruszenie o minutę wcześniej, niż przedtem.

Oznaki wyczerpania wśród psów nie dały na siebie długo czekać. Pierwszy padł Dub; biedny niezgrabny złodziej, zawsze łapany i zawsze karany, okazał się jednak do końca wiernym sługą. Rana, którą miał na łopatce, skutkiem zaniedbania uległa zapaleniu i Hal zmuszony był dobić go wystrzałem z rewolweru. Po nim padł nowofunlandczyk, a następnie trzy wyżły; dwa mieszańce wytrzymały nieco dłużej, lecz wkońcu padły i one.

Podróżni, zniechęceni niepowodzeniem, tracili powoli wszelkie resztki wyrozumiałości i łagodności. Podróż arktyczna, odarta ze swego urojonego powabu, ukazała im się w rzeczywistości, aż nadto surowej. Nie posiadali oni ani śladu tej zdumiewającej cierpliwości, właściwej ludziom tego klimatu, którzy ponosząc ciężkie trudy i cierpienia, umieją być współczującymi, pełnymi słodyczy i skromności. Mercedes przestała żałować psów, oddając się rozczuleniu nad własnym losem i kłótniom z bratem i mężem, którzy korzystali z każdej sposobności do wywoływania waśni. Każdemu zdawało się, że pracuje sto razy więcej od innych i nie pomijano najmniejszej okazji do głoszenia swych zasług.

Mercedes miała prócz tego własny powód do smutku; piękna, powabna i delikatna, otoczona była przez całe życie uprzejmem i pobłażliwym traktowaniem. Lecz teraz jej mąż i brat zrozpaczeni jej lenistwem i nie dbałością, zachowywali się względem niej szorstko i brutalnie. Cała jej litość zwróciła się więc ku jej własnym udręczeniom, zacierając współczucie dla psów; czując się osłabioną i zmęczoną, Mercedes uparcie pozostawała na sankach, obciążając o sto dwadzieścia funtów i tak ciężki ich ładunek.

Gdy nieszczęśliwe zwierzęta upadały ze znużenia w zaprzęgu Charles i Hal zaklinali ją, aby szła pieszko; lecz Mercedes odpowiadała łzami na ich przekonywania, wzywając niebo na świadka ich okrucieństwa.

Pewnego dnia mężczyźni przemocą zsadzili ją z sanki i posadzili na ziemi; Mercedes pozostała na śniegu, nie ruszając się z miejsca. Wówczas ci porzucili ją

i pojechali dalej; lecz zaledwie oddalili się o trzy mile, jak determinacya ich zniekła i zmuszeni byli, porzucawszy część ładunku, wrócić, aby zabrać kobietę z powrotem na sanki. Nigdy już od tego czasu nie powtórzyli tej próby.

Mieli przytem nadto własnej niedoli, aby być zdolnymi do okazywania litości zwierzętom.

Koło Five-Fingers żywności dla psów brakło zupełnie; od starej Indyanki udało im się nabyć kilka funtów skóry ze zmarłego konia, wzamian za rewolwer, który dotąd wisiał u pasa Hala, wiernie dotrzymując towarzystwa olbrzymiemu kordelasowi.

Lecz jakże nędznem i niestrawnem pożywieniem była ta skóra, zdjęta przed sześciu miesiącami ze szkieletu zdechłego z głodu zwierzęcia!

Bekowi cała ta podróż wydawała się ciężkim snem. Kroczył na czele zaprzęgu, ciągnąc, o ile inu starczyło sił, gdy zaś siły go opuszczały, padał na ziemię i dopiero grad uderzeń batem lub kijem podnosił go na nogi. Piękne futro psa straciło cały swój połysk i miękkość; sierść miał zbrukaną, zbitą i stwardniałą od skrzepłej krwi; skóra zwieszała mu się w obwisłych fałdach, czyniąc wrażenie opłakanego wynędznienia. Towarzysze jego, których było już tylko siedmiu, byli tak samo podobni do chodzących szkieletów, nieczułych na rany, które ciał na nich bat i odbijały kije. Gdy zatrzymywano się, psy padały, jak martwe, w uprzęży, i ta mała iskierka życia, która tliła się jeszcze w nich, przygasała i zdawała się bliską zniknięcia. Ożywała ona dopiero pod batem i kijem; nieszczęśliwe zwierzęta podnosiły się wtedy, chwielejąc się na nogach, aby odwlec się nieco opodal.

Billee, ów pocziwy pies o łagodnym charakterze, upadł pewnego dnia i nie podniósł się więcej. Hal w braku rewolweru musiał dobić go siekierą, poczem odpiął uprzęż i odrzucił ciało martwego zwierzęcia na bok.

Bek i inne psy, widząc tę scenę, zrozumiały, jak blisko ona ich dotyczyła.

Na drugi dzień padła Kooną, uszczuplając jeszcze

więcej nieszczęsny zaprzęg. Pięć pozostałych przy życiu psów były to: Joe, który był tak już wynędzniały, że przestał mruczeć swym zwyczajem; Pike, okaleczony i kulawy, nie mający sił nawet skowyczeć; Sol-leck, ślepy na jedno oko, wierny swej pracy w zaprzęgu i zrozpaczony, że brak mu było sił do jej wykonywania; Teek, dzikszy od innych, gdyż chodził w zaprzęgu dopiero od kilku miesięcy; wreszcie Bek — cień dawnego Beka. Szedł, jak dawniej, na czele zaprzęgu, lecz przestał dbać o utrzymywanie w nim karności; znieczulony zmęczeniem, nie myślał już o niczem, nie reagował na nic prócz uczucia gruntu pod swemi nogami.

Rozpoczęła się wiosna, lecz nie spostrzegali tego ludzie ani psy. Brzask przebijał się koło trzeciej godziny nad ranem, a zmierzch trwał do godziny dziewiątej wieczorem. Za cały dzień słońce ukazywało się tylko na krótką chwilę. Sen zimowy ustąpił miejsca wiosennym szmerom natury, drgającym radością życia. W sosnach rozchodziły się soki, wierzby i osiny wypuszczały pączki, a krzaki i liany okrywały się młodą zielenią. Po nocach ćwierkały świerszcze, a w dzień drobne zwierzątka wychodziły ze swych kryjówek i igrały w słońcu. Kuropatwy przebiegały po równinach; w lesie śpiewały ptaki i stukały dzięcioły, a w górze przeciągały stada ptactwa wodnego z Południa, zakreślając w powietrzu olbrzymie koła. Szemranie wód i bulgotanie źródeł rozlegało się na stokach wzgórz. Rzeka Yukon łamała swe zimowe więzienie z lodu, topniejącego teraz pod promieniami słońca i usianego na powierzchni pęcherzykami powietrza; tworzyły się na nim szczeliny, które rozchodziły się coraz dalej, sięgając brzegów rzeki. I wśród tego dźwięku ożywiającej natury, owiana podmuchami wonnego powietrza, włókła się jęcząca gromadka zwierząt i ludzi, podobna do karawany śmierci...

Psy ledwo włożyły nogi, Mercedes kwękała ustawicznie, siedząc na sankach, Hal kłął bezustannie, a Charles miał łzy w oczach. W tym stanie natrafili wreszcie na obóz pewnego podróżnego, nazwiskiem

John Thornton, przy ujściu White-River. Gdy zatrzymano się, psy padły, jak martwe, Mercedes otarła oczy, aby je utkwic w Thorntonie, a Charles postawił sobie pieńek drzewa, na którym usiadł z ostrożnością, gdyż wszystkie kości miał zbolące, Hal zaś zabrał głos.

John Thornton kończył właśnie ociosywanie gałęzi brzozonej, z której robił rękojeść do siekiery; nie odrywał się od swej pracy, gdyż znał z doświadczenia ten rodzaj podróży i wiedział, że rady nie na wiele się tu zdadzą. Aby jednak nie mieć sobie nic do wyrzucenia, ostrzegł Hala, że lód na rzece jest nadwątlony i rozmyty od spodu. Na to ten odparł, że ostrzegano go o bliskiem ruszaniu lodów i radzono poczekać.

— Lecz — dodał tryumfującym tonem — mówiono nam także, że nie dojedziemy wcale do White-River, a mimo to jesteśmy tutaj!

— To też ostrzegano was nie bez racji — odparł Thornton. — Lód lada chwila ruszy i trzeba mieć szczęście wisielca, aby odbyć cało tę przeprawę. Co do mnie, nie zaryzykowałbym swojej skóry na tym lodzie, gdyby mi nawet obiecywano wszystko złoto Alaski.

— To dowodzi tylko, że nie jest panu przeznaczonem zginąć od stryczka. Lecz my chcemy być w Dawson i będziemy, chociażby sam dyabeł stanął nam na drodze!...

Mówiąc to, rozwinął swój bat.

— Dalej, Bek!... Na nogi!... Jazda! — zawołał. Będziesz ty mię słuchał, drabie?

Thornton zabrał się do przerwanej pracy, nie odpowiadając nic.

Psy nie usłuchały rozkazu; oddawna już tylko uderzeniami bata można było podnieść je na nogi. To też po chwili ostry rzemień począł je smagać, zwijając się i rozwijając, jak żmija; Thornton zagryzł usta; Sol-leck pierwszy z trudem powstał na nogi, po nim podniósł się Teek; Joe poszedł za ich przykładem, wyjąc z bólu. Pike czynił bolesne wysiłki, aby powstać; dwa razy zerwał się i upadł z powrotem, i dopiero za trzecim razem zdołał utrzymać się na nogach. Jeden tylko Bek

pozostawał nieruchomy, leżąc wyciągnięty na miejscu, na którym upadł i znosząc okropny ból od uderzeń bicia, który go smagał bez litości. Kilka razy Thornton, któremu łzy zakręciły się w oczach, porywał się coś powiedzieć, wreszcie wstał zdenerwowany i przeszedł się kilka razy naprzód i wtył.

Po raz pierwszy Bek wyłamywał się z pod swego obowiązku — wystarczało to, aby doprowadzić Hala do wściekłości. Zamienił bat na gruby kij, lecz Bek, pomimo spadającego nań gradu uderzeń, nie ruszał się z miejsca. Był tak wyczerpany, że naprawdę brak mu było sił, aby się podnieść, lecz prócz tego instynkt budził w nim mgliste przeczucie bliskiej katastrofy. Cienki, trzeszczący lód, po którym stapał przez cały dzień, przejmował go śmiertelnym strachem przed tą rzeką, gdzie go chciał wpędzić jego pan.

Poza tem był tak osłabiony, że zaledwie odczuwał ból od uderzeń kija i ta wściekła kara zgasiłaby do reszty tę bladą iskierkę życia, która tkwiła jeszcze w jego wynędzniałem ciele. Lecz naraz John Thornton jednym skokiem rzucił się na Hala, wyrwał mu kij i pchnął go ze straszną siłą w tył; Mercedes krzyknęła przeraźliwie, a Charles, nie ruszając się z miejsca, otarł swe załzawione oczy. Obok Beka stał jego obrońca, drżąc z oburzenia i nie mogąc wymówić słowa.

— Jeśli się ważysz dotknąć tego psa, to ja cię zabiję! — rzekł wreszcie zdławionym głosem.

— Ten pies należy do mnie — odparł Hal, obcierając krew, płynącą mu z nosa i z ust. — On musi nas zawieźć do Dawson, chociażby wszyscy dyabli go bronili! Precz, bo ci pokażę drogę!

Widząc, że Thornton nie myśli ustępować, Hal porwał za nóż myśliwski. Na ten widok Mercedes poczęła krzyczeć jeszcze przeraźliwiej i gotowała się do zademonstrowania ataku nerwowego w najbardziej prawdziwej formie. Lecz Thornton jednym spokojnem uderzeniem w palec Hala wytrącił mu nóż i podniósłszy go, począł śmiało przecinać wyostrzoną klingą uprząż na psie.

Hal niespokojny o swą siostrę i nie mając już od-

wagi stawiać oporu, a przytem sądząc, że Bek jest bliski śmierci i że nie miałby z niego i tak wiele korzyści, przestał obstawać przy swych prawach do psa i pozostawiwszy go na miejscu, oddalił się ze swymi towarzyszami podróży. Po kilku minutach opuścili brzeg rzeki i wjechali na lód; Pike był na przedzie, Sol-leck z tyłu, a między nimi Joe i Teek; Mercedes siedziała na sankach, Hal szedł z boku, a Charles włókł się ociężale z tyłu.

Bek usłyszawszy, że jego towarzysze podróży odjeżdżają, podniósł łeb i popatrzył za nimi. Thornton uklęknął obok niego i swą zgrubiałą ręką, która w tej chwili była łagodniejsza, niż ręka matki, począł badać, czy pies niema złamanej kości.

Nie znalazł nic, prócz licznych skaleczeń i opłakanego wynędznienia i osłabienia.

Tymczasem sanki posuwały się wolno po lodzie; ujechały już z ćwierć mili, gdy naraz człowiek i pies, którzy śledzili je wzrokiem, ujrzeli, że tył sanek zapadł się jakby w głębokim wyboju, a przód, przytrzymywany przez Hala, podniósł się do góry.

Rozległ się krzyk Mercedes, Charles odskoczył, chcąc cofnąć się w tył; lecz olbrzymia tafla lodu odłączyła się i poszła na dno; ludzie, psy, sanki, wszystko zniknęło w ziejącym otworze: lód załamał się pod ich ciężarem.

John Thornton i Bek spojrzeli na siebie.

— Biedne psisko! Poczciwe psisko! — rzekł Thornton.

A Bek polizał mu rękę.

VI.

PRZYJAŻŃ.

W grudniu poprzedniej zimy John Thornton odmroził sobie nogi i został zmuszony do czasu swego wyzdrowienia pozostać w obozie, podczas gdy jego towarzysze udali się w górę rzeki, aby zbudować trasę dla komunikacji z Dawson. Thornton utykał jeszcze trochę, lecz z nadejściem cieplejszych dni wiosennych, ta lekka ułomność znikła zupełnie: tymczasem Bek, wylegując się rozkosznie na słońcu, odzyśkiwał stopniowo stracone siły, przy wesołym szemraniu strumyków, przy szczebiocie ptactwa, przy harmonijnych odgłosach wiosny, którym wtórował głębokim pomrukiem odwieczny las, czerniejący na horyzoncie.

Po odbyciu podróży, wynoszącej 2700 kilometrów, jest się zupełnie uprawnionym do wypoczynku, lecz należy wyznać, że Bek oddawał się całą duszą rozkoszom lenistwa w tym okresie rekonwalescencji. Zresztą dokoła niego wszyscy czynili to samo. Zarówno Thornton, jak Skeet i Nig wałęsali się beczynn timer, wypoczywając przed usilną pracą, która ich czekała.

Skeet, była to mała suczka z rasy irlandzkich wyżłów, która od samego początku zaczęła świadczyć przyjacielskie usługi Bekowi, zbyt jeszcze osłabionemu naówczas, aby mógł się obrażać na poufalość jej postępowania. Miała ona ów zmysł pielęgnowania, właściwy pewnym psom i na samym wstępie zabrała się do wytrwałego lizania i leczenia ran nieszczęśliwego psa z taką troskliwością, z jaką kotka liże swe kocięta.

Co rano po śniadaniu zasiadała do swej pieczołowitej pracy i starania jej uwieńczyły się tak pomyślnymi rezultatami, że Bek wkrótce zaczął je cenić na równi z zasługami samego Thorntona.

Nig, równie przyjacielski, jakkolwiek znacznie powściągliwszy, był to duży czarny ogar mieszanej rasy, z uśmiechniętem wejrzeniem i z takim dobrym humorem, jak rzadko szukać.

Psy te, które zdawały się w pewien sposób podzielać dobroć swego pana, nie objawiały żadnej zazdrości względem swego nowego towarzysza — co było dla Beka wielką niespodzianką. Gdy tylko przyszedł do sił na tyle, że zaczął chodzić, otoczyły go pieszczołami, urządzały dla niego wszelkie możliwe rozrywki, wreszcie zachowywały się tak gościnnie, że trzeba było czarnej niewdzięczności, aby się nie czuć wzruszonym tem szlachetnem przyjęciem; i Bek, który nie miał bynajmniej niewdzięcznej natury, odwzajemniał im się w wielkiej mierze za ich przyjaźń i serdeczność.

Ten szczęśliwy okres wczasu był dla niego jakby odrodzeniem, wstąpieniem w nowe życie. Lecz miłe towarzystwo, zabawy, świeży wietrzyk wiosenny, przyjemne uczucie rekonwalescencyi, wszystko to było niczem w porównaniu z nowem uczuciem, które go owładnęło. Po raz pierwszy w życiu zagościła w jego sercu prawdziwa, głęboka, namiętna miłość.

Wprawdzie jeszcze tam, w zbytkownym „home“ w Santa-Clara Bek świadczył i doznawał przywiązania. Czy to wtedy, gdy towarzyszył sędziemu Millerowi w przechadzkach, czy to podczas wycieczek lub polowania z jego synami, kiedy czuwał gorliwie nad malcani, zawsze dokonywała się między nimi wzajemna wymiana trwałego uznania i przyjaznych postępów.

Lecz jakże daleką od tych spokojnych uczuć była namiętność, która ożywiła go dziś! Miłość płomieniła w nim, miłość paląca, gorączkowa; miłość głęboka, wyłączna, to przedziwne przywiązanie psa do człowieka, które tylekroć było sławione i dla którego podziw nigdy nie zniknie.

Niedość, że Thornton uratował mu życie — było

to bagatelką w stosunku do dobrodziejstw, które spływały codziennie na psa z jego ręki — lecz człowiek ten rozumiał psią duszę, obchodził się z psami, jak gdyby to były jego własne dzieci, oddawał im część swego serca. Nie zapomniał nigdy przywitać ich zrana przyjacielskim pozdrowieniem lub przychylnem słówkiem, które one tak bardzo ceniły. Bawił się, przestawał z nimi, jak z równymi sobie; i Bek specjalnie oceniał charakter tego traktowania. Thornton we właściwy sobie sposób brał go dwoma rękami za pysk, wstrząsał mu silnie łeb, obsypując go gradem obelżywych epitetów, które były pewnym rodzajem pochlebstwa, i wówczas dzielny pies rozpływał się w radości i dumie. Przy dźwiękach tych przekleństw, otoczony tymi szorstkimi uściskami, Bek czuł się jak w siódmym niebie. I gdy po wyjściu z ekstazy skakał wkoło swego ubóstwianego pana, ze wzrokiem, błyszczącym niewysłowioną radością, wydając nieartykułowane, lecz wymowne dźwięki ze swej piersi, drgającej od siły uczucia, Thornton uczuwał pewien mimowolny podziw i szeptał zdanie, powtarzane setki razy:

— Zdaje się, że mu tylko brak mowy!

Czasami — gdy miłość przepelniała psa nadmierne — chwycił rękę swego pana i ścisnął ją namiętnie w zębach. Po takim potężnym uścisku ręka doznawała pewnego szwanku; lecz podobnie jak Bek przyjmował przekleństwa Thorntona za pochlebne słówka, tak i ten ostatni wiedział, że ukaszenie znaczyło u psa pieśczętę i nie gniewał się za nie.

Zresztą te nieco wybujałe objawy uczucia były dość rzadkie; chociaż Bek czuł się prawie szalonym ze szczęścia, gdy pan jego mówił lub dotykał się go, jednak wrodzona godność nie pozwalała mu ubiegać się zbyt często o pieśczęty.

W przeciwieństwie do Skeet, która bez ceremonii wsadzała swój mały nosek pod rękę pana i posuwała się do tego, że zdobywała pieśczęty wprost gwałtem, lub do Niga, który pozwalał sobie kłaść swój duży łeb na jego kolanach, Bek umiał uwielbiać z daleka.

Gdy widział Thorntona zajętym, całym jego szczę-

ściem było leżeć mu u stóp, ze wzrokiem, utkwionym w jego twarzy, nieruchomo i uważnie badając jej wyraz, śledząc z intensywnem skupieniem najdrobniejsze zmiany w ukochanem obliczu. Chwilami tak wielką była siła magnetyczna tego wiernego wzroku, że przyciągał wzrok Thorntona, zmuszał go do oderwania się od rozpoczętej pracy i oczy człowieka spotykały się z oczami szlachetnego zwierzęcia w braterskiem obcowaniu.

Przez dość długi czas Bek bał się spuścić z oczu swego pana choć na chwilę. Zmiany właścicieli, których doznał przez ostatni rok, zrodziły w nim uzasadnioną obawę nowego bolesnego rozłączenia, żył więc, trawiony ustawicznym niepokojem, aby Thornton nie zniknął z jego życia, podobnie jak zniknęli Perrault i Franciszek. Dręczony tą troską, śledził go bezustannie wzrokiem, nasłuchiwał trwożnie, gdy tracił go z oczu, a czasami w nocy podkraadał się pod sam brzeg namiotu i słuchał jego oddechu. Obawy te znikły dopiero stopniowo, po pewnym czasie.

Lecz obok tej szlachetnej namiętności, która zdawała się świadczyć o zwrocie ku wpływom cywilizacyjnym, dzikie zwierzę, rozbudzone w Beku przy zetknięciu z dzikiem otoczeniem, rosło w głębi jego istoty i zdobywało sobie władzę.

Widząc u ogniska Thorntona tego majestatycznego psa, z rozrosłą piersią, ze wspaniałym łbem, ze świetną sierścią, z wejrzeniem spokojnem i potężnem, ostatni i podziwienia godny wyraz długiego rozwoju rasy, zdobytego przez szereg pokoleń, ktoby przypuścił, że pod tą subtelnie piękną powierzchownością budził się do życia odwieczny pies-wilk? A jednak tak było. Powierzchowne piętno cywilizacji zatracalo coraz to inne rysy w istocie psa i zwierzę pierwotne energicznie utrzymywało swą przewagę. Podstęp, kradzież, gwałt stały się jego zwykłą bronią. Osoba Thorntona była dla niego świętą, to nie ulegało wątpliwości, Skeet i Nig, jako własność jego pana, cieszyły się również wyjątkowymi względami. Lecz poza nimi wszelkie żywe

istoty, które napotykał, ulegały nieubłaganemu prawu walki o byt.

Gdy tylko pozbył się obawy o stratę swego pana, począł włóczyć się bez celu, odbywając długie wycieczki; odtąd też życie jego stało się jedną nieustanną walką.

Codziennie wracał, okryty ranami; nie było wroga, któryby mu się wydawał zbyt groźnym, ani co do wielkości, ani co do liczby. Był też równie bezlitosnym, jak nieustraszonym; zabić lub zostać zabitym, pożreć lub zostać pożartym — było to prawo pierwotne i to prawo, wyszłe z głębi zamierzchłych wieków, Bek jedynie uznawał.

Przemawiały też do niego inne głosy. Z głębin lasu dochodziły go coraz to dobitniej jakieś tajemnicze nawoływania natrętne, wyraziste, a tak władne, że kilkakrotnie, nie mogąc się oprzeć, pobiegł w kierunku głosu, do czarnej ściany boru. Lecz tam, gdzie, kończyły się wszelkie ślady życia, gdzie zaczynała się ziemia dziewicza, uczucie, silniejsze od tego głosu, miłość do swego pana, powstrzymywała go w ślepym zapędzie, zmuszała do powrotu i zajęcia znów swego miejsca wśród ludzi.

Hans i Peter, dwaj towarzysze Thorntona, wrócili wreszcie ze swą matką i żyli w dobrych stosunkach z Bekiem. Lecz nie przyszło to odrazu. Pies z początku bronił im zadrzeście do ogniska; dopiero gdy cierpliwe wyjaśnienia pana przekonały go wreszcie, że byli to przyjaciele, zaczął ich tolerować, raczył przyjąć ich grzeczności, lecz nie okazywał im nigdy najmniejszej części tego głębokiego uczucia, które poświęcał Thorntonowi. Jeden Thornton korzystał z posłuszeństwa Beka, ale też to, czego mógł wymagać od psa, nie miało granic.

Pewnego dnia, będąc wolni od zajęcia, trzech poszukiwaczy złota wyszli z obozu (odbywano wtedy podróż ku wypływowi Tonany) i po długiej przechadzce stanęli nad urwiskiem, wznoszącym się na trzysta stóp ponad rzekę; Bek, jak zwykle, spoczywał obok swego pana, pozerając go wzrokiem, bacząc na najdrobniej-



...Był to Bek, który jednym, bezprzykładnym skokiem spadł na piersi napastnika...



szy rozkaz lub znak; był wtedy wymownym obrazem psiej wierności. Wzrok człowieka spoczął na nim z tkliwością i naraz niezwykle pomysł, zrodzony przez nagły poryw próżności, chęć zdziwienia swych towarzyszków, pokazania im, jak rozległą była jego władza, zawładnął zwykle łagodnym i powściągliwym umysłem Thorntona.

— Pokażę wam coś!... Bek, skacz! — rzekł wyciągając rękę nad przepaścią.

Zaledwie wymówił te słowa, jak pies, bez wahania, bez namysłu, rzucił się ku brzegowi urwiska, lecz w tej chwili Thornton, który naraz zrozumiał szaleństwo swego pomysłu, rzucił się, aby go zatrzymać, nie zważając na własne niebezpieczeństwo, zaś dwaj towarzysze ze swej strony przybiegli na pomoc i z trudem zdołali uratować obu od śmierci.

— Tej zabawy nie należałoby powtarzać zbyt często — zauważył milczący zwykle Hans.

— Tak — rzekł krótko Thornton, przejęty wstydem, że dał się porwać tak okrutnemu popędowi próżności i uzasadnioną dumą, którą napawała go bezprzykładna wierność psa.

— Nie chciałbym być w skórze człowieka, któryby cię zaczepił w obecności Beka — dodał Peter po chwili — można być pewnym, że nie wyszedłby cało z tej afery.

Słowa Petera ziściły się w krótkim czasie.

Pod koniec lata trzech towarzysze zatrzymali się w Circle-City i pewnego razu byli w szynkowni, w której znajdowało się wielu innych poszukiwaczy złota. Bek, skulony w kącie, z łbem wspartym na przednich łapach, obserwował, jak zwykle, każdy ruch swego pana.

Naraz wybuchła kłótnia. Niejaki Czarny Burton, pyśzałek i zawadyka, zaczepił niesłusznie pewnego spokojnego człowieka i zaczął go łżyć. Thornton, będąc człowiekiem sprawiedliwym i rozsądnym, próbował uspokoić krzykacza, lecz ten, zirytowany wmieszaniami się obcego człowieka, zwrócił całą swą wściekłość przeciw niemu, i zdradziecko, bez ostrzeżenia, wymierzył

mu pięścią tak silne uderzenie, że Thornton musiał uczepić się za poręcz bufetu, aby nie upaść.

Z głębi pokoju rozległ się istny ryk wilka i przez zadymioną atmosferę ponad głowami obecnych przeleciał jakiś czarny przedmiot, jak olbrzymi pocisk armatni. Był to Bek, który jednym, bezprzykładnym skokiem spadł na napastnika, z najeżoną sierścią, z nalanemi krwią oczyma, z otwartą paszczą, gotowy zerwać go na sztuki. Ten zdążył zaledwie zastawić się ręką i utkwić pięść w paszczy zwierzęcia. Lecz Bek wypuścił natychmiast rękę, rzucił się na człowieka całym swym ciężarem, obalił go na ziemię i wprzód nim tłum mógł mu przeszkodzić, jednym mistrzowskim ruchem rozdarł mu gardło.

Zdołano wreszcie odciągnąć psa i wyrwać mu jego ofiarę — zresztą tylko głos Thorntona dokazał tego cudu; lecz gdy lekarz począł badać rannego, nowy atak wściekłości wstrząsnął ciałem Beka i przeciągły pomruk wyrwał mu się z potężnej piersi, jako wymowny znak palącej go żądzy dobicia pokonanego wroga.

Zebrała się zaraz na miejscu „rada“ górników i zajęła się poważnem rozpatrzeniem sprawy. Uznano jednomyślnie, że napad psa był aż nadto usprawiedliwiony: Bek został uwolniony i imię jego stało się głośnie w wszystkich obozach Alaski. Nie było dnia, aby dzielny pies nie dawał nowych dowodów męstwa i poświęcenia.

W ostatnich dniach tego roku trzem poszukiwaczom złota, którzy dawno już opuścili Circle-City, wypadła trudna praca: chodziło o przebycie szeregu niezwykle gwałtownych kaskad. Hans i Peter, znajdujący się na brzegu, ciągnęli łódź za pomocą sznura, który przywiązywali do drzew, aby silny prąd nie porwał łódki wraz z nimi; Thornton zaś pozostawał na statku i za pomocą żerdzi kierował nim wśród skał podwodnych. Bek, niespokojny i uważny, trzymał się brzegu rzeki, nie spuszczać swego pana z oka, posuwając się krok za krokiem równocześnie z nim.

Wszystko szło dobrze z początku; lecz w jednym

miejsku wypadło rozluźnić sznur, aby dać możność statkowi przebycia rzędu ostrych skał, jeżących się ponad powierzchnią wody; manewr ten udał się; lecz gdy przyszła chwila przyciągnąć linę, wykonano źle obliczony ruch i łódź wyróciła się raptownie do góry dnem. Thornton wypadł do wody i został porwany przez prąd, który go poniósł ze straszną szybkością ku najniebezpieczniejszemu miejscu kaskad. Prawie równocześnie z upadkiem Thorntona Bek znalazł się w wodzie. Śmiało zanurzył się w spienionych falach, wzburzonych, jak wrząca woda w kotle, popłynął ku swemu panu, który bezskutecznie borykał się z prądem i w odległości trzystu metrów od miejsca katastrofy zdołał go doścignąć.

Czując, że Thornton schwycił go za ogon, dzielny pies zawrócił odrazu, kierując się ku brzegowi, lecz niestety! pomimo rozpaczliwych, bohaterskich wysiłków, został pokonany; silniejszą od jego męstwa i poświęcenia była ślepa siła prądu.

Nieco dalej woda rozbijała się na pianę o zaostrzone kamienie, jak zęby olbrzymiej piły i przed tym spadkiem prąd rwał ze straszną wściekłością. Prawie doszczętnie wyczerpany nierówną walką Thornton zdołał uchwycić obu rękami jedną z wystających skał, uczepił się jej i słabym głosem rozkazał Bekowi popłynąć do brzegu, gdzie stali Hans i Peter. Inteligentny pies zrozumiał; podniósłszy nieco swój piękny łeb ponad wodę, jakby pragnąc zaczerpnąć sił we wzroku swego pana, począł płynąć całą siłą i, pozbawiony teraz olbrzymiego ciężaru, dosięgnął wreszcie brzegu. Dwaj towarzysze Thorntona domyślili się również jego planu; nie tracąc ani chwili czasu, obwiązali koniec sznura w koło szyi i ramion Beka w ten sposób, aby mu nie krępować swobody ruchów, i wrzucili go do wody.

Pies śmiało zabrał się ponownie do walki z prądem. Płynął, wyteżając wszystkie siły i mknął, jak strzała, w kierunku swego pana, lecz w gorączkowym pośpiechu nie obliczył swych ruchów i w ostatniej chwili znalazł się w zbyt wielkiej odległości od niego, tak,

że prągi porwał go w dół, zanim zdążył dopłynąć do skały; próżno usiłował potem płynąć pod wodę — fale niosły go, podrzucając jak piłkę, wreszcie znikł pod wodą. Natychmiast Hans i Peter zaczęli ciągnąć sznur, wydobyli psa na brzeg i rzucili się do ratowania go, naciskając z całych sił, aby wywołać oddech i pobudzić do oddania połkniętej wody. Bek podniósł się, zatoczył i upadł, jak rażony piorunem; dwaj ludzie myśleli już, że pies wydaje ostatnie tchnienie, gdy naraz z oddali doleciał słaby i niewyraźny głos Thorntona.

Ten osłabiony głos zdawał się jednak mieć władzę sięgania poza granice życia. Z głębi swego omdlenia Bek został wyrwany gwałtownym bodźcem podniósł się jak naelektryzowany i jednym skokiem znalazł się u brzegu, krzepki, żwawy, okazując wymowną mimiką gorące pragnienie wyruszenia jak najszybciej, nie tracąc ani sekundy.

Obwiązano mu znów sznur w koło ciała, i nauczony poprzedniem niepowodzeniem, pies umiał tym razem opanować swą niecierpliwość, umiarkować swój zapał, wymierzyć dobrze swe ruchy i osiągnąć celu. Przeciął z początku rzekę napoprzek i znalazłszy się w prostej linii powyżej Thorntona, dał się unieść prądowi, mknąc prosto ku niemu.

Thornton, widząc psa spadającego z prądem, jak strzała schwycił go za szyję. Obaj zostali zmocy, obaleni, zanurzeni w wodzie; lecz w końcu sznur zwyciężył; nawpół zaduszeni, potłuczeni, lecz żywi, pies i człowiek zostali wydobyti na brzeg.

Gdy usilne zabiegi przyjaciół przywołały człowieka do życia, pierwsze jego spojrzenie padło na psa, którego nieruchome ciało wywołało już u Niga żałosne wycie pogrzebowe, podczas gdy roztropniejsza Skeet liżała troskliwie mokry pysk i zamknięte oczy biednego Beka.

Nie zważając na swe rany, stłuczenia i straszne zmęczenie, Thornton zabrał się natychmiast do masowania, tarcia i opatrywania swego bohaterskiego przyjaciela. Znalezione u Beka trzy żebra złamane, co skło-

niło poszukiwaczy złota do zaobozowania w tem miejscu do czasu zupełnego wyzdrowienia psa.

Tej samej zimy Bek dokonał nowego czynu, być może mniej bohaterskiego, lecz niezwykle owocnego pod względem pieniężnym. Dzięki jemu poszukiwacze złota mogli zaopatrzyć się dostаточно w narzędzia i przedsięwziąć wycieczkę do pewnej nieeksploatowanej jeszcze miejscowości na Wschodzie, którą mieli na widoku.

Pewnego dnia w „Eldorado Saloon“, znanem miejscu zebrali poszukiwaczy złota w Alasce, zgromadziło się jak zwykle towarzystwo. Przy fajce i kieliszku toczyła się ożywiona rozmowa, w której chętnie się zaletami posiadanych psów.

— Mój pies może uciągnąć sam jeden sześćset funtów — rzekł jeden, przesadzając tylko o połowę.

— A mój uciągnie siedmset — odparł Matthewson, jeden z miejscowych nababów*).

— Siedmset? — rzekł Thornton. — Bek uciągnie tysiąc.

— Co też pan powie! — rzekł złośliwie nabab. — Więc to taki silny pies? W takim razie będzie mógł zapewne ruszyć z miejsca moje sanki, które tam stoją przymrożone do śniegu i ciągnąć je sam jeden na przestrzeni stu metrów?

— Najzupełniej — odparł spokojnie Thornton.

— A więc — rzekł Matthewson, podnosząc umyślnie głos, aby wszyscy mogli słyszeć jego propozycję — stawiam tysiąc dolarów, że tego nie uczyni; oto tysiąc dolarów!

Mówiąc to, położył na stole worek złotego piasku, zaokrąglony i napęczniały jak kiełbasa.

Nastąpiło milczenie, Thornton zarumienił się: czuł, że nieopatrznie wpadł w kłopotliwe położenie.

Wierzył zupełnie szczerze, że Bek był w stanie uciągnąć tysiąc funtów, lecz nigdy przedtem nie poddawał jego siły podobnej próbie. Przytem trzej przyjaciele nie posiadali razem tak wysokiej kwoty. Należało jednak się decydować: wszyscy oczekiwali odpowiedzi.

* Bogaczy.

— Moje sanki stoją przed drzwiami z dwudziestu workami mąki, po pięćdziesiąt funtów każdy — rzekł Matthewson z brutalnym śmiechem. — Nie krępuj się pan!

Thornton zachowywał pełne rozważliwego milczenie, szukając wyjścia, gdy naraź błędny wzrok jego zatrzymał się na twarzy jednego z dawnych przyjaciół, nazwiskiem Jim O'Brien, drugiego króla złota tej miejscowości. Na ten widok wróciła mu cała zimna krew i podszedłszy do niego, spytał:

— Czy nie mógłbyś mi pożyczyć tysiąc dolarów?

— Owszem — odrzekł O'Brien, kładąc obok worka Matthewsona drugi worek, nie gorzej wypchany od tamtego. — Lecz obawiam się John, że pies nas zawiedzie.

W mgnieniu oka goście Eldorado rozprószyli się na ulicy, aby obserwować tę niezwykłą produkcję psa; stoliki pozostały opuszczone, gracze i krupierzy wyszli tłumnie, aby dowiedzieć się o rezultacie zakładu i aby zakładać się między sobą. Gromadka ludzi, ubranych w futra, otoczyła sanki, naładowane dwudziestu workami mąki, stojące od dwóch godzin przed drzwiami, na sześćdziesięcio-stopniowym mrozie.

Sanki przymarzły do stwardniałego śniegu i stawiano dwa dolary przeciw jednemu, że Bek nie ruszy ich z miejsca. Co do słów: „ruszyć z miejsca” powstał spór. O'Brien twierdził, że Thornton miał prawo uwolnić uprzednio sanki od lodu, pies zaś miał je ciągnąć dalej; Matthewson zaś mówił, że w zakład wchodzi także, aby pies ruszył sanki, łamiąc pod nimi lód. Gdy większość z pośród obecnych przyznała mu słuszność, stawki przeciw Bekowi wzrosły trzykrotnie, sądzono bowiem, że podobne zadanie przechodziło siły psa. Thornton, widząc sanki, zaprzężone w dziesięć psów, które Bek miał zastąpić sam jeden, żałował coraz więcej swej pohopności. Matthewson tryumfował.

— Trzy przeciw jednemu! — zawołał, zwracając się do Thorntona. — Trzymam drugie tysiąc dolarów. Idzie?

Lecz to wyzwanie rozbudziło w Thorntonie zuchwa-

łość gracza i postanowił walczyć do upadłego. Przywołał Hansa i Petera, których połączona gotówka wynosiła zaledwie dwieście dolarów; kwota ta stanowiła cały ich majątek, lecz nie zawahali się postawić jej przeciw sześciuset dolarom Matthewsona.

Wyprzężono dziesięć psów i zaprzężono na ich miejsce Beka. Zdawało się, że dzielny pies przejął się ogólnem podnieceniem, że gotował się do wykonania olbrzymiego wysiłku dla swego ubóstwianego pana. Na widok jego okazałej budowy, podniósł się szmer podziwu. Miał zadziwiająco piękne kształty; nie było na nim ani jednego grama zbytecznej tuszy; połyskująca sierść mieniła się, jak atlas; na karku i na ramionach grzywa podnosiła mu się, falując przy każdym ruchu, szeroka pierś i silne łapy były proporcjonalne do reszty ciała.

Znawcy poczęli obmacywać mu muskuły, uwydatniające się pod skórą w zbitych włóknach i gdy przekonali się, że były twarde, jak żelazo, stawki spadły z trzech na dwie.

— Do diabła — rzekł do Thorntona pewien bogacz z Skookum-Bench, daję panu za tego psa ośmset dolarów przed próbą, ośmset dolarów, tak jak jest.

Thornton potrząsnął głową i stanął obok Beka.

— Nie wolno panu stać obok psa, zaprotestował Matthewson. — Gra ma być uczciwa i psu należy dać wolne miejsce!

Tłum umilkł, tylko rozlegały się głosy graczy, ofiarujących dwa dolary przeciw jednemu; lecz dwadzieścia worków mąki ważyły zbyt ciężko, aby któryś z obecnych odważył się rozwiązać sakiewkę.

Thornton ukląkł obok Beka, objął go za łeb obu rękoma i przyciskając pysk psa do swego policzka, szepnął:

— Zrób to dla mnie, Bek, zrób przez miłość dla mnie!

Bek warknął z cicha, tłumiąc pożerający go zapach.

Tłum patrzył na nich z ciekawością; cała sprawa stawała się tajemniczą i zakrawała na czary. Gdy Thornton powstał, Bek pochwycił zębami rękę swego pana

i lekko ją ukąsił; była to niema odpowiedź i wyraz miłości. Thornton wolno się cofnął.

— Bek, ruszaj! — rzekł.

Bek wyprężył postronki, potem zwolnił je o kilka centymetrów, jak to nauczył się czynić.

— Hu! rozległ się głos Thorntona wśród naprężonego milczenia.

Bek, skręciwszy na prawo, posunął się naprzód, wykonał gwałtowny rzut, który raptownie szarpnął postronki i zatrzymał się. Ładunek na sankach zadrżał; z pod spodu dało się słyszeć dźwięczne trzeszczenie.

— Dia! — zawołał Thornton.

Bek wykonał ten sam manewr na lewo. Trzeszczenie przeszło w łoskot, sanki poruszyły się, zaskrzypiały i przesunęły się o kilka centymetrów. Lód został złamany! Widzowie wstrzymali oddech w piersiach.

Wreszcie rozległa się komenda końcowa:

— „Mush“!

Głos Thorntona zadźwięczał, jak sygnał na rogu; Bek zrobił krok naprzód, naprężając rzemienie uprząży; całe ciało jego tężyło się w rozpaczliwym wysiłku; pod połyskującą sierścią mięśnie wiły się i przesunęły, jak żywe istoty; potężna pierś dotykała prawie ziemi, łapy czepiały się gorączkowo gruntu, pazury ryły w śniegu głębokie brzozy. Sanki zakołysały się, zadrżały, zdawało się, że ruszyły nieco naprzód. Psu poślizgnęła się noga i jeden z widzów głośno zaklął; potem sanki w drobnych poruszeniach posunęły się wolno i nie stanęły już, zdobywając jeden centymetr... dwa... dziesięć!

Raz już wprawiona w ruch ciężka masa nabierała miarowo rozpędu, posuwając się coraz szybciej. Ludzie, którzy zaparli byli oddech ze wzruszenia, poczęli oddychać; Thornton biegł za sankami, zachęcając Beka krótkimi wykrzyknikami.

Dystans, który pies miał przebyć, był starannie wymierzony i gdy dzielne zwierzę zbliżyło się do stosu drzewa, oznaczającego metę, rozległ się chór okrzyków, który przeszedł w istny ryk, gdy minawszy ozna-

zione miejsce, Bek zatrzymał się w miejscu na rozkaz swego pana.

Zachwyceni ludzie, a w ich liczbie i sam Matthewson, wyrzucali w górę czapki i futrzane rękawice.

Ukląkłszy przy Beku, Thornton rozpromioniony ujął w obie ręce łeb bohaterskiego psa, i wstrząsając nim silnie, udzielał mu w ten sposób najwyższej nagrody, wylewając przytem potok swych najpiękniejszych przekleństw.

— Panie, — wyjąkał nabab z Sookum-Bench — daję panu tysiąc dolarów, słyszysz pan? Tysiąc dolarów... tysiąc dwieście!

Thornton podniósł się; oczy jego były mokre od łez, których nie myślał ukrywać.

— Nie, panie, nie — odrzekł królowi Skookum-Bench. — Idź pan do dyabła, panie: to jest wszystko, co mogę panu powiedzieć!

Bek ujął zębami pochyloną nad nim rękę Thornтона i ścisnął ją tkliwie; widzowie odsunęli się dyskretnie, aby nie przeszkadzać temu „tête-à-tête“ dwóch przyjaciół.

VII.

GŁOS SIĘ ODZYWA.

Zdobywszy, dzięki Bekowi, 1600 dolarów w pięć minut, John Thornton znalazł się w możności spłacenia pewnych krępujących długów i urzeczywistnienia projektu, oddawna już obmyśliwanego wspólnie z kilku kolegami. Chodziło o przedsięwzięcie podróży na Wschód na poszukiwanie bajecznej złotej miny, o której podania sięgały samego początku historyi kraju.

Wielu awanturników udawało się w podróż celem jej odnalezienia, lecz niewielu z nich powracało; tysiące ludzi zginęło, nie pozostawiając po sobie śladu. Historia tej miny obfitowała w tajemnicze tragedye. Nie znano imienia pierwszego, który ją odkrył. Prawdę powiedziawszy, nie wiadano nic dokładnego i o samej minie, lecz twierdzono, że miejsce jej mają wskazywać ruiny chaty.

Ci, którzy powracali, wycieńczeni i konający, opisywali ją, pokazując na dowód swych słów bryły złota zadziwiającej wielkości, jakich nigdy przedtem nie widziano.

Nikt nie rościł sobie prawa własności do tych skarbów — ludzie bowiem, którzy je odkryli, dawno pomarli. Pewnego więc dnia John Thornton, Hans i Peter, w towarzystwie Beka i sześciu innych psów, wyruszyli na Wschód, aby szukać w nieznanej miejscowości skarbów, być może urojonych.

Przebywszy na sankach siedmdziesiąt mil po powierzchni zamarzłej rzeki Yukon, skręcili na rzekę Stę-

wart, minęli Mayo i Mac-Quertin i podążając dalej powierzchnią Stewart aż do jej wypływu, wzniesli się na szczyty gór, sterczące jak kości pacierzowe kontynentu.

John Thornton, wybierając się w ekspedycję, nie liczył nigdy na ludzi, lecz na przyrodę i nie obawiał się odosobnienia. Z garstką soli i flintą w ręku mógł zapuszczać się w najdziksze miejscowości i dawać sobie radę tak długo, jak tylko zechciał. Rozporządzając zawsze wolnym czasem, zdobywał sobie żywność na wzór Indian — polowaniem, posuwając się wciąż naprzód; gdy brakło dziczyzny, podróżował dalej bez kłopotu, pewny, że odnajdzie ją prędzej czy później. Ponieważ pożywienie podróżynych składało się prawie wyłącznie z upolowanej zwierzyny, ładunek sań stanowiły tylko narzędzia i amunicja.

Był to dla Beka okres nieskończonych rozkoszy i uciech, które czerpał całą pierśią wśród życia bezustannej włóczęgi po nieznanym kraju, urozmaiconej polowaniem i rybołówstwem.

Przez całe tygodnie podróżowano od rana do nocy; podczas innych tygodni, przeciwnie, jakby zapuszczano korzenie w jakimś samotnym miejscu: rozkładano obóz; psy wałęsały się w okolicy, a ludzie kopali doły w ziemi lub w zmarzłym żwirze i przepłukiwali przy ogniu duże miski złotego piasku. Raz cierpiano głód, raz znów zdobywano obfite zapasy żywności, stosownie do zmiennego szczęścia w myśliwstwie i do kaprysów zwierzyny.

Nadeszło lato; ludzie i zwierzęta przebywali na tratwie błękitne jeziora górskie, płynęli po nieznanych rzekach, na lekkich czółnach, wyciosanych w lasach okolicznych. Płynęły całe miesiące wśród tego błędzenia w rozległych przestrzeniach, których żadna ręka ludzka nie oznaczyła na mapie, aby im wskazać drogę, lecz które deptały kiedyś stopy ludzkie, jeśli można było wierzyć podaniom.

Przechodziły nad nimi straszne nawałnice, wśród lata podnosiły się zadymki śnieżne i tnące wiatry, błyskawice ślepiły im oczy; chwilami piorun uderzał tuż

obok nich; przy słońcu północnem drżeli od zimna na wysokich szczytach gór, wznoszących się ponad granicę wiecznych śniegów; spuszczały się w ciepłe doliny, rojące się od moskitów, zbierali pod cieniem lodowców owoce, które dawały się porównać tylko z najpiękniejszymi owocami Południa.

Pod koniec roku podróżni zapuścili się w posępną, fantastyczną krainę, którą przerzynały grupy jezior, gromadzące latem wkoło siebie chmury ptactwa wodnego; teraz panowała tu cisza, przerywana tylko mrozzącymi podmuchami wiatru i melancholijnem pluskaniem fal o samotne brzegi.

Przez całą zimę trzej poszukiwacze złota posuwali się w głąb kraju, kierując się nawpół zaginionymi śladami swych poprzedników. Raz natrafili na drogę, wyrąbaną z gruba w lesie, która prowadziła, jak się zdawało, do owej zniszczonej chaty; lecz droga ta, bez początku i bez końca, pozostała tajemniczą, jak przeznaczenie i myśl tego, który ją przeprowadził.

Innym razem odkryli szałas myśliwski i z pośród strzępów zgniłego pokrycia Thornton wydobył starą strzelbę z krzemieniem, datującą się z czasów powstania Kompanii zatoki Hudsona. Żadnych innych śladów nie pozostało po nieznanym człowieku, który zbudował ten szałas i odpoczywał w nim w tych odległych czasach.

Z początkiem wiosny skończyła się ich włóczega, gdyż natrafili wreszcie na cel swych poszukiwań; nie były to wprawdzie ruiny chaty, lecz głęboka mina na dnie rozległej doliny, w której złoto połyskiwało, jak żółte masło w przetaku.

Nie szukali już dalej, gdyż każdy dzień pracy dawał im tysiące dolarów w postaci złotego proszku i brył. Zrobiono worki z łosiowej skóry, do których pakowano złoto po pięćdziesiąt funtów do każdego.

Dni płynęły szybko przy tej pracy. Psy nie miały nic do czynienia, jak tylko przynosić od czasu do czasu upolowaną przez Thorntona zwierzynę i w tym okresie Bek spędzał długie godziny, marząc przy ognisku

o tych pierwotnych rzeczach, do których czuł niewyraźną tęsknotę.

Do mglistych wizyj zamierzchłych czasów przyłączył się teraz głos, który brzmiał z głębi lasu, budząc w nim nieokreślone pożądanja i niezwykle uczucia. Kierowany siłą, silniejszą od swej woli, biegł na poszukiwanie źródła tego tajemniczego głosu. Błądząc tak po lesie, napawał się z rozkoszą zapachem świeżego mchu i wysokich traw, pokrywających czarny grunt; i te ożywcze wonie przejmowały go dziwną radością, którą, jak mu się zdawało, już kiedyś przeżywał.

Wówczas wspomnienie Człowieka z długimi rękoma, pokrytego sierścią, za którym biegł kiedyś, budziło się w nim z żywą wyrazistością; oczekiwał chwilami, że spotka go za skretem ścieżki, wydeptanej w zarosłach przez dzikie zwierzęta i szukał ze zdwojonym zapalem...

Spędzał czasami całe dni, przykucnąwszy za pniem drzewa, w cierpliwem obserwowaniu wszystkiego, co poruszało się wkoło niego, nieskończonego mnóstwa drobnych istot, kryjących się pod osłoną wielkich drzew, owadów lub małych zwierzątek o płowej sierści.

Lecz nagle podnosił łeb, prostował uszy i nasłuchiwał uważnie. Idąc za głosem, którego oddźwięk budził go z zamyślenia, zrywał się na nogi i biegł wprost przed siebie całemi godzinami, mknął w niewiadomym kierunku pod zielonemi sklepieniami lasu, wyschniętem łożyskiem jakiegoś potoku lub po otwartej przestrzeni, usianej kwiatami. Lecz ponad wszystko lubił biedz tak w wonnym półcieniu letnich nocy, kiedy las mruczał we śnie i ten pomruk był tak wymowny, jak artykułowana mowa. Wówczas ów Głos, który nawoływał go bezustannie gdzieś z samej głębi natury, brzmiał głębiej, tajemniczej i bliżej zarazem.

Pewnej nocy Bek obudził się nagle i jednym skokiem stanął na nogach z błyszczącemi oczyma, z drgającemi nozdrzami, z falującą sierścią... Głos rozległ się tym razem zupełnie blisko. Nigdy nie słyszał go tak

jasno i wyraźnie. Było to przeciągłe wycie, podobne, lecz i różne nieco od wycia krajowego psa.

I w tem znajomem wyciu Bek poznał Głos, już przedtem słyszany, którego szukał od całych miesięcy.

Przebiegł szybko i cicho, jak cień, obóz i skierował się w stronę lasu. Lecz w miarę tego, jak zbliżał się do nieznaney istoty, która go nawoływała, zwalniał stopniowo bieg, posuwając się ostrożnie i podstępnie.

I naraz na środku polanki ukazał mu się długi, szary, wychudły wilk leśny, który siedział na zadzie i wył do księżyca.

Pomimo to, że pies nie czynił najmniejszego szmeru, wilk zwęszył go i przerwał nagle swój śpiew. Bek zbliżył się, z wyprężonym ogonem, z podniesionemi uszami, gotowy do skoku. Jednak wszystkie jego ruchy wyrażały, obok groźby, chęć zawarcia przyjaźni. Nie zważając na to, dzikie zwierzę rzuciło się do ucieczki.

Bek olbrzymimi skokami pobiegł za wilkiem, przejęty szalonem pragnieniem dopędzenia go. Długi czas biegli prawie bok o bok przy sobie. Wreszcie wilk wbiegł w łożysko wyschniętego strumienia, zagrodzone nieprzebytą gęstwą gałęzi i martwych drzew. Widząc się zapędzonym w matnię, dzikie zwierzę odwróciło się podobnym ruchem, jak to czynił Joe i psy krajowe, kiedy znajdowały się w groźnem niebezpieczeństwie, i stanęło w obronnej pozycji, zgrzytając i dzwoniąc zębami.

Bek, zamiast atakować wilka, krążył wkoło niego z cichem, przyjaznem mruczeniem, ruszając ogonem i uśmiechając się szeroko. Lecz wilk niedowierzał mu i obawiał się, gdyż łeb jego zaledwie sięgał ramion psa. Naraz zwinny, ukradkowym ruchem wymknął się i począł uciekać.

Pościg rozpoczął się na nowo. I znów wilk omało nie został złapany, lecz jak poprzednio wymknął się i biegł dalej. Zwierzę znajdowało się w zbyt niedogodnych warunkach, ale Bek nie mógł go doścignąć; biegli prawie równolegle, póki wilk nie zatrzymywał się, pokazywał zęby i uciekał dalej.

Wreszcie, poznawszy, że Bek nie chciał wyrządzić mu krzywdy, wilk stanął i pozwolił psu powąchać mu pysk. Poczem zostali przyjaciółmi i poczęli się bawić w sposób nerwowy i nieśmiały, który tak dziwnie uderza w igraszkach dzikich zwierząt.

W kilka chwil później wilk udał się w dalszą drogę ze swobodą, która świadczyła, że podążał do określonego celu. Dał Bekowi do zrozumienia, aby mu towarzyszył i poczęli biedzić w półmroku obok siebie, dotykając się prawie bokami. Trzymali się łożyska potoku, przebyli potem wyschnięty wąwóz, który mu służył za wypływ i wybiegli na pochyłość, z której rozwinął się wspaniały widok rozległych równin i lasów, poprzecinanych mnóstwem strumieni. Mknęli całymi godzinami przez tę przestrzeń, podczas gdy słońce wznosiło się wolno nad widnokręgiem.

Bek był przejęty bezgraniczną radością; czuł, że odezwała się w nim odpowiedź na ów tajemniczy Głos, który go wabił dotąd z tak niepokonaną siłą; budziły się w nim tłumnie stare wspomnienia, gdy przebiegał tę ziemię dziewiczą, nad którą rozstaczało się wielkie, głębokie niebo, a przy boku miał swego dzikiego krewniaka.

Lecz gdy zatrzymali się przy jasnym strumieniu, aby napić się wody, zimna fala otrzeźwiła go z tego upojenia; wspomnienie Johna Thorntona ścisnęło naraz Bekowi serce. Usiadł raptownie.

Wilk pobiegł dalej, lecz po chwili wrócił do niego, począł go trącać nosem i zachęcać do dalszej drogi. Lecz Bek zamiast tego skierował się w powrotną podróż. Przez całą godzinę dziki towarzysz biegł z nim razem, piszcząc żałośnie. Potem zatrzymał się, przykucnął i podniósłszy pysk w górę, zawył przeciągłym głosem. Długo jeszcze Bek słyszał za sobą tę żalosną skargę, rozdzierającą powietrze w głębi lasu. Wreszcie wszystko umilkło.

Thornton kończył obiad, gdy Bek wpadł jak bomba do obozu, skacząc na swego pana, liżąc go po twarzy i rękach, przewracając wszystko wkoło siebie w szalo-

nym wybuchu uczuć. Thornton nie widział go nigdy tak podnieconym...

Przez dwa dni i dwie noce Bek pozostawał w obozie, jakby chcąc nasycić swe oczy widokiem ukochanego człowieka. Potem wspomnienie niedawno odbytej wycieczki do czarownej dziewiczej miejscowości odżyło w nim na nowo...

Począł błądzić po lasach, lecz nie mógł już odnaleźć swego dziękiego towarzysza; żalosne wycie przestało rozlegać się w puszczy.

We wszystkich ruchach psa przebijają dumna pewnością siebie i nadawała jego fizycznej istocie pewną piękną i straszną zarazem doskonałość.

Wyglądał na olbrzymiego wilka, tylko płowe plamy na pysku i nad oczami, biała gwiazdka na czole i biała plama na potężnej piersi zdradzały jego pochodzenie. Chytrą siłą dorównywał wilkowi; siłą i męstwem wodził się w olbrzymiego psa, od którego pochodził, zaś piękną i inteligentną — w swą matkę, piękną owczarkę; zalety te, połączone z doświadczeniem, nabytem w najtwardszej szkole, czyniły zń istotę wspałałą i groźną wśród wszystkich innych.

— Nie widziano nigdy podobnego psa! — powtarzał Thornton ze słuszną dumą, patrząc, jak Bek przechadzał się po obozie, majestatyczny i potężny, wydając się królem wszystkiego, co go otaczało.

VIII.

GŁOS SIĘ ODZYWA.

Nik nie podejrzewał zmiany, która dokonywała się w Beku, odkąd począł błądzić w głębiach lasu. Nie chodził już teraz w zaprzęgu; stawał się zwierzęciem dzikiem, zwinnym, cichem i lekkim, cieniem, zaledwie dostrzegalnym wśród innych cieni. Umiał niknąć z oczu, korzystając z najdrobniejszej osłony, pełzać na brzuchu jak żmija, skakać i uderzać jak ona. Chwytał kuropatwę w gnieździe, podchodził królika w legowisku, łapał w lot małą, zwinną wiewiórkę. Nie zabijał jednak nigdy dla przyjemności, lecz jedynie z potrzeby, gdyż produkty myśliwstwa stanowiły jego wyłączne pożywienie.

Zbliżała się zima i łosie wielkimi stadami zaczęły schodzić z gór, aby spędzić ten surowy czas w dolinach, cieplejszych i lepiej zabezpieczonych od wiatrów. Bek zdążył już upolować młodego, dość dużego wzrostu; lecz pragnął pochwycić godniejszą siebie zdobycz; znalazł wreszcie wybraną ofiarę w pewnym samotnym wąwozie.

Ze dwadzieścia zwierząt, dowodzonych przez starego przywódcę, spuszczało się powoli ze strefy lasów i źródeł. Przywódca był zwierzęciem o wyglądzie dzikim; potężne racice i cały las rogów na wielkim łbie, które miały ze czternaście odnóg i rozrastały się przynajmniej na siedm stóp szerokości, stanowiły groźną broń dla najsilniejszego przeciwnika. Małe oczy błyszczały zielonym, dzikim blaskiem, i nawet Bek uznał w nim niebezpiecznego wroga.

Łoś zaryczał z wściekłości, ujrzawszy psa; wściekłość tę powiększał niewątpliwie ból, który zadawała mu tkwiąca w boku strzała ze sterzącą nazewnątrż lołką.

Kierowany wewnętrznym instynktem myśliwskim, odziedziczonym po swych przodkach, którzy używali tej taktyki od najdawniejszych czasów istnienia świata, Bek postanowił przedewszystkiem odłączyć starego samca od reszty stada. Nie było to łatwym zadaniem, gdyż przewodnik był równie ostrożnym i przebiegłym, jak dzikim. Pies począł skakać przed łosiem, szczekając bezustannie, doprowadzając go do najwyższej wściekłości, i równocześnie bacząc, aby trzymać się w przyzwolonej odległości od jego strasznych rogów i potężnych, płaskich racic, które jednym uderzeniem mogły go zmiażdżyć.

Samiec wściekły uderzał na Beka, który rzucał się do ucieczki, aby zwabić go za sobą. Lecz gdy tylko przewodnik chciał oddalić się od stada, natychmiast dwóch lub trzech młodych wyręczało go w ściganiu psa, co pozwalało rannemu przewodnikowi połączyć się z główną gromadą.

Dzikie zwierzęta umieją rozwijać cierpliwość uporczywą, niezmordowaną i wytrwałą, jak całe ich życie. Bek posiadał tę cierpliwość w całej rozciągłości. Począł uwijać się z boków stada, drażniąc samice i młode, okrążając zwierzęta pierścieniem ataków, doprowadzając samego przewodnika do szaleństwa. Trwało to przez cały dzień. Pod koniec dnia młode nie rzucały się już z taką gorliwością na ratunek dręczonemu przewodnikowi. Mgliste przeczucie zbliżającej się zimy ciągnęło je ku pastwiskom, lepiej zabezpieczonym od chłódów, i instynkt nakazywał im poświęcić jednostkę dla całego stada.

Gdy zapadła noc, stary samiec stał z pochylonym łbem, patrząc na oddalających się towarzyszy, których nie miał już sił ścigać; samice, których bronił, samce, których był ojcem, zuchwałe młode, które pokonał, wszystko oddalało się coraz szybciej, niknąc w cieniach rozpościerającej się nocy.

Miał skończyć swe długie, chlubne życie walk i zwycięstw pod zębami zwierzęcia, którego głowa zaledwie sięgała jego potężnych kolan... Od tej chwili Bek nie wypuszczał swej zdobyczy w dzień ni w nocy, przeskadzając jej spać, pić, skubać młode pędy wierzb i brzoź. Doprowadzony chwilami do ostatniej rozpacz, łoś rzucał się przed siebie wściekłym galopem, jakby chcąc w ten sposób uciec przed swym prześladowcą; Bek ścigał go bez trudu, kładąc się, gdy łoś się zatrzymywał, lecz atakując go, gdy tylko chciał pić lub jeść.

Ciężkie zwierzę pochylało się coraz więcej pod ciężarem swych olbrzymich rogów i bieg jego stawał się coraz wolniejszy; przez długie chwile stał nieruchomo, z głową spuszczoną ku ziemi, z obwisłymi, miękkimi uszami; nieubłagany myśliwy mógł wówczas sam wypocząć i napić się wody.

Podczas tych przerw, gdy Bek spoczywał, szybko dysząc, z czerwonym językiem, wywieszonym z pośród białych zębów, zdawało mu się, że jakaś niedostrzegalna zmiana zaszła w całej okolicy. Miał uczucie obecności jakichś nowych istot, które wkroczyły tutaj, podczas gdy łośie spuszczały się z gór; las, woda, powietrze, wszystko wykrywało tę zmianę, którą instynkt psa doskonale wyczuwał, postanowił więc po skończonem polowaniu zbadać tę dziwną, a tak niepokojącą zagadkę.

Czwartego dnia wieczorem obalił wreszcie olbrzymiego łośa i przez dwadzieścia cztery godzin pozostawał obok swej zdobyczy, jedząc i śpiąc naprzemiennie. Potem wypoczęty, odświeżony i silny, udał się w drogę do obozu Thorntona. Biegł długim lekkim galopem, trwającym całe godziny, nigdy się nie myląc, kierując się z dokładnością, która mogła zawstydzić człowieka z jego magnetycznym kompasem.

Biegając, czuwał coraz silniej tę niewyraźną zmianę, którą dostrzegł podczas polowania. W okolicy znajdowały się obce istoty; przekonanie to budził w nim nie tylko własny instynkt; zachowanie się innych zwierząt, a nawet wiatr utwierdzał go coraz więcej w tem

niepokojącym przeczuciu. Kilka razy zatrzymywał się, aby odetchnąć świeżem porannem powietrzem i zastanowić się nad tem dziwnem przeczuciem, które wkońcu pobudzało go do rozpoczęcia dalszej drogi z większą niecierpliwością, gdyż czuł bliską tragedję — nieszczęście nieuchronne, a być może już dokonane. W tem trwożnem podnieceniu przebył ostatnią kaskadę i począł się spuszczać ku obozowi, podwoiwszy ostrożność.

O trzy mile dalej natrafił na świeżą ścieżkę, prowadzącą wprost do obozu Johna Thorntona. Począł biec szybciej, z najeżoną sierścią, w strasznym naprężeniu nerwowem, badając z uwagą tysiące szczegółów, które mówiły mu o pewnych faktach, nie dając jednak wyraźnego wniosku.

Powonienie dawało mu poznać, że ścieżką tą przechodziły jakieś żywe istoty. Kompletna cisza, która panowała w lesie, uderzyła go; ptaki uciekły, a wiewiórki pochowały w dziuplach drzew.

Prześlizgując się, szybki i ulotny, jak cień, wśród zarośli, poczuł naraz zapach, który ścisnął mu gardło i gwałtownie skierował w bok. Ślad przyprowadził go do zagaju, w którym znalazł swego towarzysza Niga, leżącego na boku, z ciałem przebitym na wylot długą, zębatą strzałą. O sto metrów dalej przebiegł, nie zatrzymując się, obok jednego z psów krajowych, kupionych w Dawson, skręcającego się w kurczach agonii.

Naraz z obozu doleciał go dziki, monotonny śpiew. Pełzając na brzuchu nad brzegiem polanki, natrafił na martwe ciało Hansa, leżące plecami do góry i najeżone strzałami, jak jeżozwierz. Lecz w tej samej chwili przez lukę w gałęziach ujrzał widok, od którego sierść podniosła mu się do góry, a w sercu zakipiła ślepa wściekłość. Przeczucie nie zawiodło go; banda czerwono-skórnych Dzihetów *) tańczyła wojenny taniec dokoła zburzonej chaty Thorntona...

Dziki ryk wyrwał się konwulsyjnie z piersi Beka; zapominając nagle o wszelkich zasadach rozsądku i chytrości, które posiadał kosztem tak wielu ciężkich prób,

*) Jeehat — nazwa plemienia indyjskiego.



... natrudzi na martwe ciało Hansa, leżące plecami do góry i najęzione strzałami, jak jeźowierz.



rzucił się naprzód i spadł jak burza na osłupiałych z przerażenia Dżihetów. Dysząc żądzą śmierci i krwi, Bek przelatywał od jednego do drugiego, wpadł na wodza, rozdarł mu jednym szybkim ruchem gardło, otwierając tętnicę, i nie zatrzymując się, aby go dobić, skoczył na drugiego Indyanina, którego powalił w ten sam sposób. Próżno przerażeni wojownicy starali się stawiać mu opór; rozszalały pies zdawał się dwoić i troić w ich oczach. Wymykał się z pod skierowanych przeciw niemu ciosów i uderzał niespodziewanie w innym miejscu, siejąc śmierć i trwogę. Dzicy poczęli strzelać z łuków, lecz trafiali jedni drugich, nie mogąc dosięgnąć psa. Wreszcie syn wodza, pragnąc pomścić śmierć ojca, chciał przebić lancą ruchliwego demona, który uwijał się wpośród tłumu; lecz ostrze trafiło w pierś jego własnego brata, który padł z rozpaczliwym krzykiem.

Wówczas śmiertelna panika ogarnęła Dżihetów. Rzucili się tłumnie w stronę lasu, wołając przerażonymi głosami: „Zły duch! zły duch!”

Bek zdawał się istotnie wcieleniem piekielnej Zemsty.

Spragniony krwi, ścigał swych wrogów po zaroślach, obalając ich i rozrywając bez litości. Oszałała ze strachu, zdzięsiatkowana banda pierzchła na wszystkie strony i dopiero w tydzień potem niedobitki tej okropnej walki mogły się zgromadzić w ustronnej dolinie, aby obliczyć swe straty i odśpiewać pieśni za poległych.

Gdy Bek, znudzony ściganiem tych nędznych wrogów, powrócił do zniszczonego obozu, znalazł ciało Petera owinięte w kołdry na miejscu, na którym zaskoczyła go śmierć podczas napadu Indian. Skopany grunt wkoło świadczył o rozpaczliwej obronie Thorntona.

Z nosem przy samej ziemi, z pomrukiem zgrozy i bólu, Bek udał się po śladach do brzegu głębokiego stawu, badając po drodze szczegóły walki, stoczonej przez swego pana. Na brzegu stawu leżała wierna do śmierci Skee; łeb i przednie jej łapy były zanurzone w zabarwionych od krwi falach. Głębokie, wzburzone wody skryły na zawsze ciało Johna Thorntona...

Bek błdził przez cały dzień wkoło stawu, wydając żalosne skomlenia i rozpaczliwe wycia. Strata ubóstwianego pana wytworzyła w jego sercu głęboką pustkę, której nic nie było w stanie zappełnić. Jeden tylko widok jego ofiar łagodził mu nieco ból. Dumnym był, że zabił ludzi, tę najszlachetniejszą zwierzynę; obwachiwał z ciekawością trupy, zdziwiony, że odniósł tak łatwe zwycięstwo nad istotami, które uważał dotychczas za najgroźniejsze.

Odtąd nie znał już więcej strachu przed Człowiekiem.

Księżyc ukazał się na niebie, zalewając ziemię posępnem światłem pogrzebowem, i Bek poczuł, że z nastąpieniem nocy w lesie obudziło się nowe życie.

Wyprostował się, wciągając w siebie powietrze. Oddalone naszczekiwanie rozlegały się, zbliżając się szybko. Poznał w nich część tej przeszłości, która w nim budziła się do życia. Posuwał się środkiem polanki, słuchając bez niepokoju i bez wyrzutów sumienia głosu, który tak długo go wołał...

Odtąd był wolny — mógł odpowiedzieć na ten głos i oddać mu się sam. Po śmierci Johna Thorntona nic nie wiązało już Beka z Człowiekiem.

Srebrzystą falą wylało się stado wilków na polankę, na której Bek stał nieruchomy, jak wykuty z kamienia, oczekując ich nadejścia. Widok jego był tak imponujący, że wilki zatrzymały się na chwilę w osłupieniu; lecz jeden z śmielszych skoczył do psa, który szybko, jak błyskawica, skreślił mu kark i przyjął nazad swą majestatyczną pozycję, nie zwracając uwagi na zwierzę, charczące na ziemi. Trzy inne spróbowały zaatakować go, lecz cofnęły się w nieładzie z porozdzieranemi straszliwie gardłami.

Wkońcu całe stado rzuciło się na psa. Lecz zadziwiająca zwinność i bezprzykładna siła pozwoliła Bekowi odbić wszystkie ataki.

Aby nie dać napastnikom zaskoczyć się z tyłu, oparł się zadem o stromą pochyłość gruntu i osłonięty z trzech stron, bronił się tak dzielnie, że wkońcu wilki cofnęły się, onieśmiałone. Jedne leżały z wywieszonym językiem, brocząc w krwi z licznych ran, inne szcze-

kały, pokazując błyszczące kły i nie spuszczać wzroku ze strasznego przeciwnika; inne piły chciwie wodę ze stawu.

Naraz wielki wychudły wilk odłączył się od stada i podszedł do psa ostrożnie, lecz z cichem, przyjaznem skomleniem. Bek poznał w nim dzikiego brata, towarzysza owej wycieczki; pyski ich dotknęły się i serce psa zabiło łagodnem wzruszeniem.

Z kolei zbliżył się stary wilk, okryty licznymi bliznami. Bek, szczerząc kły, obwąchał mu nozdrza i zamachał ogonem. Wówczas stary wojownik usiadł i wyciągając pysk ku księżycowi, wydał melancholijne, przeciągłe wycie. Inne przyłączyły się chórem. Bek poznał Głos... Usiadł i zawył w podobny sposób. Wtedy całe stado otoczyło go z sapaniem, nie okazując mu więcej wrogiego usposobienia.

Poczem przewodnicy, wydając myśliwskie okrzyki, pobiegli do lasu; całe stado rzuciło się tłumnie za nimi wraz z Bekiem, który biegł wpośród swych dzikich współbraci, wyjąc, jak oni.

Tak kończy się historia Beka.

Lecz Indianie po kilku latach zauważyli pewne zmiany w rasie leśnych wilków. Nabierały one większego wzrostu, niektóre z młodych miały płowe plamy nad oczami i na pysku, białe gwiazdki na łbie lub na piersiach. I dziś jeszcze wśród Dżihetów opowiadają o Złym Duchu, który prowadzi stado wilków i który jest chytrzejszy od nich wszystkich. Ludzie obawiają się go, gdyż zapuszcza się śmiało do ich obozów, kradnąc żywność, przewracając pułapki, zabijając psy i rzucając się nawet na wojowników.

Czasami myśliwi nie powracają z lasu i ciała ich bywają odnajdywane później bez życia z szeroko porozdzieranymi gardłami. I legenda o Złym Duchu zyskuje o jeden epizod więcej. Kobiety płaczą, a mężczyźni zachmurzają się, myśląc o tem.

Wszyscy unikają doliny koło stawu, gdyż tam ukazuje się od czasu do czasu gość ze strefy wielkich lasów i źródeł, którego obecność rozsiewa dokoła przeżenie.

Jest to, jak opowiadają, wielki wilk o wspaniałem futrze, o wyglądzie dumnym i władnym. Schodzi on w dolinę, gdzie nawpół zgniłe worki z łosiowej skóry rozsypują po ziemi potok żółtego metalu, ginącego powoli pod szczątkami roślinnymi i zarastanego przez dzikie trawy.

Wielki wilk zatrzymuje się i zdaje się zamyślać; potem z przeciągłym wyciem, którego smutek ścina krew w żyłach, biegnie do głębokiego lasu, który jest odtąd jego mieszkaniem.

Gdy nadchodzą długie noce zimowe i wilki wychodzą z lasu na polowanie do niżej położonych dolin, można go widzieć, biegnącego na czele stada pod bladym światłem księżyca lub jaśniejącym blaskiem zorzy północnej. Olbrzymim wzrostem panuje nad swymi towarzyszami, a z krtani wydobywa mu się donośny śpiew, łączący się ze śpiewem stada, który pochodzi od najwcześniejszych dni istnienia świata.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWO
SPÓŁKI NAKŁAD. „KSIĄŻKA“
ODPOWIEDNIE NA
PODARUNEK GWIAZDKOWY
DLA DOROSŁYCH I MŁODZIEŻY

WACŁAWA SIEROSZEWSKIEGO

ZAMORSKI DYABEŁ

POWIEŚĆ

Z 54 RYSUNKAMI HENRYKA MINKIEWICZA
W OZDOBNEJ OPRAWIE PŁÓCIENNEJ.

Przygody młodzieńca polskiego, odbywającego pod nieudolnym kierownictwem uciążliwą i niebezpieczną podróż do Chin przez pustynię, a potem w Chinach występującego jako mimowolny i nieświadomy współwinowajca rabunkowej gospodarki Europejczyków w tym kraju. Obrazy krajów i obyczajów, opowieść o rozruchach Chińczyków, buntujących się przeciwko jarzmu cudzoziemskich wyzyskiwaczy, wstrząsająca scena trwania buntowników i t. d. — oto tło powieściowe, na którym zarysowuje się postać młodzieńca, hartującego się w starciach z otoczeniem. Dzieło to Sieroszewski przerobił dla młodzieży z jednej ze swych „Powieści Chińskich“. Ale z równym pożytkiem i przyjemnością jak młodzież od lat 10, czytać ją będą i dorośli, bo Sieroszewski nie fałszował tu życia dla wymagań złe pojętej pedagogii.

CENA 4 KORONY 50 HALERZY.





